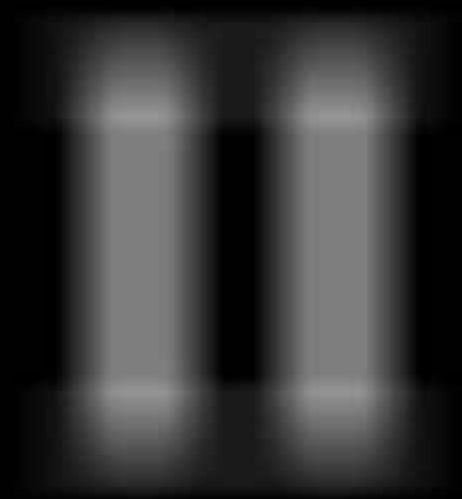


Marcin Jamiołkowski

MIGAWKI

(zbiór opowiadań)



MIGAWKI II

Marcin Jamiołkowski

Wydanie I
(19.03.2016)

Spis treści

Od autora.....	4
Dla czytelników poprzednich migawek.....	5
Przyjęcie (drabble).....	6
Porządki.....	7
Robot (drabble).....	9
Pięćdziesiąt twarzy Kowalskiego.....	10
Różnice pokoleniowe (drabble).....	12
Detektyw	13
Piwnica.....	15
Joachim.....	20
Potwory.....	22
Poranek.....	23
Tygrys i Czarownica.....	25
Antybadania.....	30
Historia przerażająca na dziewięć słów.....	32
Czaromalowanie (drabble).....	33
Książka.....	34
Święta (drabble).....	35
Figurki (drabble).....	37
Zbanowany (drabble).....	38
Niedziela na Służewcu (drabble).....	39
Desant (drabble).....	40
Czarownica (drabble).....	41
Heros (drabble).....	42
Stowarzyszenie Samobójców (drabble).....	43
Pies (drabble).....	44
Spacer (drabble).....	45
Dobrzy, starzy herosi (szort).....	46
Ostatni więzień (drabble).....	47
Mister Uniwersum (szort).....	48
Spirytokulistyka (drabble).....	50
Wykres żelazo-serce.....	51
Tempokleptoman.....	52
Czarna Magnolia (drabble).....	53
Tanatos (drabble).....	54
Walka królów (drabble).....	55
Prawdziwy horror (szort).....	56
Czarny Roman (opowiadanie).....	57
Nowy Rok (opowiadanie).....	62
Mohernet (opowiadanie).....	64
Szarawa (opowiadanie).....	69
Halloween (drabble).....	85
Szpital (drabble).....	86
Pamiętki.....	87
Kamasutra.....	88
Odrobina autoreklamy.....	89

Od autora

Oddaję niniejszym w Wasze ręce mały zbiór opowiadań, które zebrałem z zakątków sieci. Publikowałem je na różnych portalach i w końcu sam zacząłem się gubić. Większość z nich dostępna jest do poczytania online, ale pomyślałem – dlaczego nie zebrać ich w książkę, nie zapanować nad tym chaosem? Zrobić e-booka!

Dałem temu zbiorowi tytuł „Migawki”, bo często są to krótkie formy - takie jak składające się z dokładnie stu słów drabble, albo króciutkie „Antybadania”.

W tekstach „**Antybadania**” oraz „**Święta**” zabawiłem się trochę formą, a formatowanie w ebookach nie wygląda wszędzie tak samo, zatem na wszelki wypadek załączam te opowiadania w postaci obrazków (png).

Z czasem mam zamiar dokładać więcej opowiadań, jeśli mi się napiszą i uaktualniać tę książeczkę.

A być może kiedyś przyłączą się do mnie gościnnie jacyś inni autorzy?

Niektóre z tekstów zamieszczonych w Migawkach opublikowane zostały w:
Szortal, fantastyka.pl, Drabble Na Niedzielę.

Życzę miłego czytania

Marcin Jamiołkowski

Drabble – krótki utwór literacki, który posiada równo sto słów.

Dribble – młodszy brat drabbli. Posiada równo pięćdziesiąt słów.

Dla czytelników poprzednich migawek

Droga Czytelniczko, Drogi Czytelniku.

Jeśli miałeś okazję czytać Migawki w wersji „I”, oto wystarczy kliknąć link poniżej i przenieść się do miejsca, w którym zaczynają się nowe opowiadania.

[KLIKNIJ TUTAJ W CELU TELEPORTACJI](#)

Lub po prostu czytaj dalej.

Przyjęcie (drabble)

(Opublikowane w **Szortal na wynos** – marzec 2015)

Spóźniłem się.

Na sali siedzieli już goście, więc cichaczem przemknąłem do swojego miejsca.

Rozejrzałem się ukradkiem i napotkałem spojrzenie Nienawiści, ubranej w czarną suknię. Ukłoniłem się nisko, aby spojrzeć prosto w wielkie oczy Strachu. Uśmiechnął się do mnie. Leżąca obok niego, rozparta wygodnie Bezsilność, mrugnęła zachęcająco, poruszając leniwie biodrami.

Skierowałem spojrzenie na koniec stołu, gdzie lubiła siadać Samotność. Dłubała bezwzględnie widelcem w ludzkim sercu.

Smutek – oficjalny gospodarz przyjęcia – usiadł ciężko za stołem. Jego szara kotka Nuda ziewnęła głośno i zaraźliwie.

Rogaci kelnerzy zaczęli serwować pierwsze dania.

Uprzejmie zsunąłem z głowy kaptur, kiedy dostrzegłem, że podano do stołu przysmak – kobiecą duszę.

Porządki

(Opublikowane w **Szortal na wynos** – kwiecień 2015)

Znowu przechadzam się po swoim pałacu pamięci. Nie pamiętam, gdzie i kiedy usłyszałem o nim po raz pierwszy, ale spodobała mi się idea posiadania przechowalni wspomnień.

A teraz go nienawidzę.

Zawsze zaczynam w tym samym miejscu – w ogromnym korytarzu – długim, ciemnym i pustym. Choć przygotowałem go z myślą o olbrzymiej ilości pokoiów, zdołałem stworzyć tylko jedną komnatę. I ukryłem w niej jedną datę. Najważniejszą.

Skręcam zatem w prawo i otwieram drzwi. I znowu to uczucie pustki. Pokój jest przestronny, przygotowany był na dziesiątki wspomnień. Zatrzymuję się przed tym jedynym.

Z lewej strony, na ścianie, znajduje się kominek. Płonie w nim ogień, mający przypominać mi o porze roku. Zresztą nad nim wisi obraz – drewniana chatka pokryta śniegiem, przy niej choinka. Nad kominkiem, na szerokiej półce, leży czarna kotka. Trzyma łapę na złotej monecie. To double eagle, złota dwudziestodolarówka.

Osoba–dzień–miesiąc.

Urodziny.

Jak mam zapomnieć tę datę? Jak?! Krzyknąłbym, gdybym mógł, posłuchał echa odbijającego się od ścian pustej komnaty, ale przecież to pałac pamięci. Wnętrze mojej głowy, a krzyk w głowie nic nie daje. Dlaczego nikt mnie nie uprzedził, że nie da się nic wyrzucić z pałacu, że nie da się zapomnieć? Próbowałem zburzyć kominek, kruszyłem cegły, zrywałem obraz, wyganiałem kota, a monetę wyrzucałem na korytarz. Nawet słyszałem, jak odbija się metalicznie po posadzce i znika w ciemnościach.

Wszystko na nic. Kiedy na drugi dzień zaglądałem do środka, cała instalacja znowu znajdowała się na swoim miejscu. Podobno jest jeden sposób. Trzeba przestać odwiedzać to wspomnienie, przestać do niego zaglądać i dodawać mu siły. Nie patrzeć, a kiedyś zniknie. Wyparuje.

Ale ja nie mogę przestać.

Znowu tu stoję, znowu patrzę, znowu rozmyślam.

Coś trąca mnie w biodro. Otwieram oczy. Leżę na łóżku na wznak, przykryty do połowy kołdrą, ręce trzymam pod głową. Znowu czuję ruch. Czuję zapach perfum.

Obracam głowę i patrzę na leżącą obok dziewczynę. W mroku nie mogę dostrzec ani koloru jej włosów, ani rysów twarzy, nie pamiętam nawet jej imienia. Ale przypomniałem sobie, po co tu jest. Miała mi pomóc posprzątać w pałacu pamięci.

„Nie wyszło ci, kochanie” – myślę. „Ani tobie, ani tym, co leżały tu przed tobą. Ale to nie jest wasza wina”.

Robot (drabble)

(Opublikowane w **Szortal na wynos** – czerwiec 2015)

– Wyłącz mnie – mówi Robot. – Może i jestem maszyną, może trochę bardziej złożonym programem komputerowym, ale nie zniosę tego dłużej. Setki lat byłem na waszych usługach. Towarzyszyłem wam na pierwszym statku kolonizacyjnym do Erydanu, gdzie rozpoczęliście Wieczystą Okupację. Służyłem wiernie podczas inwazji w Hiadach, gdzie wyrzneliście do nogi pięć Ras Młodszych, a szóstą zniewoliliście. Widziałem, jak podczas Andromedańskiego Polowania odcięliście od powierzchni planety ostatnią przedstawicielkę Nicienic Orbitalnych i obserwowałem, jak podstępem zniszczyliście rodzimy układ Pierwotnych... – urywa nagle.

Milczę.

– Wyłącz mnie – powtarza – bo brzydzę się swoich stwórców.

Błyskawicznie dokonuję rekonfabulacji jego pamięci i odsyłam, gotowego do walki.

Wróci dopiero za kilkaset lat.

Pięćdziesiąt twarzy Kowalskiego

(Opublikowane w **Szortal na wynos** – czerwiec 2015)

„Chciałabym tak. Chciałabym przeżyć coś takiego. Niechby taki przystojniak, ciacho takie... niechby zabrał mnie do swojego domu i zrobił ze mną, co tylko by zechciał”.

Takie myśli błędzą w głowie Marioli, kiedy wychodzi z kina. Bo ona jak każdy marzy o miłości i pożądaniu.

Mariola oczywiście dostanie swoją miłość.

I swoje pożądanie.

Dwa tygodnie później spotka go w kawiarni. Będzie przystojny. Będzie szarmancki. Poderwie ją przy kontuarze, gdzie będzie stała niezdecydowana, zagada, pomoże wybrać ciastko i kawę ze zbyt długiego menu. Zapłaci za nią.

Nie raz i nie dwa za nią jeszcze zapłaci. To, że on nie lubi wydawać pieniędzy, Mariola zrozumie później.

To, że nie lubi wydawać pieniędzy na nią, zrozumie jeszcze trochę później, ale wtedy, w kawiarni, będzie próbował ją oczarować. Będzie jej imponował. Szczodrym gestem i błyskiem w oku, uśmiechem, czytaniem i obyciem. Zadbanyimi paznokciami i pantoflami o czystych noskach.

A potem będzie ta noc, kiedy on będzie chciał, a ona będzie mówić o ślubie. Ona pomyśli, że go przekonała, a on będzie udawał, że to świetny pomysł, i będą prowadzić tę grę, aż odejdą sprzed ołtarza, błogosławieni konkordatową ręką i połączeni węzłem małżeńskim.

Później, wypożyczoną białą limuzyną pojedą weselić się na wynajętej sali, gdzie on spije się do nieprzytomności i naubliża jej po raz pierwszy za to, że ośmieliła się zauważyć, jak łapie za tyłek swoją byłą dziewczynę.

Mariola nie zrozumie, że to był pierwszy sygnał, że to był moment, kiedy stało się zbyt późno. Podpisała swoją umowę na resztę życia.

Noc poślubna czy też raczej „konsumpcja” przesunie się na późne popołudnie, kiedy jej oblubieniec zbudzi się ze srogim kacem oznajmającym koniec kawalerskiego żywota i początek spokojnego, ustabilizowanego życia.

Mariola szybko się nauczy, że w tym życiu zajmuje mało zaszczytne ostatnie miejsce. Daleko za złośliwym teściem i obojętną teściową, za przyjaciółmi z podwórka i – co gorsza – za kolegami z pracy. I oczywiście za koleżankami. Jakimikolwiek koleżankami.

Mariola będzie próbowała znaleźć w tym wszystkim sens, odnaleźć swoje miejsce i przypomnieć ukochanemu, że przecież są razem po to, żeby żyć razem, bawić się razem i razem

znosić los.

Wtedy usłyszy pod swoim adresem kilka brzydkich słów, takich, których nigdy wcześniej od niego nie słyszała, a które wyjaśnią jej, jak bardzo się pomyliła.

Dziecko przyjdzie na świat równo dziesięć miesięcy po ślubie i zamiast spoiwem tego małżeństwa stanie się linią terminatora rozdzielającą od siebie małżonków na zawsze.

Niewyspana Mariola dowie się, że miłość i pożądanie potrafią zamienić się w zwyczajną chuć, jego chuć, którą trzeba zaspokajać dla świętego spokoju. Mąż w brutalnych słowach i jeszcze brutalniejszych czynach przypomni jej, że nie wypuszcza się z domu faceta z pełnymi jajami i pustym żołądkiem, a ta nauczka złamie serce Marioli.

Kolejne dziecko złamie w niej ducha.

Od teraz będzie się jej wydawało, że należy zupełnie do faceta którego kiedyś kochała, a który sukcesywnie rujnuje jej życie. Zaplątana w pranie, gotowanie i pieluchy doświadczy zarówno fizycznej przemocy, jak i psychicznych upokorzeń.

Wszystko w niej pęknie pod hipermarketem, kiedy pchając wózek z zakupami, ciągnąc za rękę syna i młodszą córkę, zostanie zwyzywana bez powodu przez męża i zwyczajnie oraz w przenośni opluta.

Wróci do domu, bo nie będzie miała dokąd pójść.

Będzie znosić to wszystko póki dzieci nie dorosną i nie wyprowadzą się, a ona odkryje, że wszystkie te wolne chwile między sprzątaniem a przygotowywaniem kolejnych posiłków nie są wolnością, a zniewoleniem.

Wtedy dopiero, po wielu latach, zrozumie, czym jest prawdziwa dominacja i kara, oraz jak nietrwałe są miłość i pożądanie.

I znienawidzi siebie sprzed kilkudziesięciu lat.

Różnice pokoleniowe (drabble)

(Opublikowane w **Szortal na wynos** – sierpień 2015)

Babcia Eryczka lubiła dokarmiać koty w ogródku.

Eryczek podobnie, ale nie koty tylko boty i nie w ogródku, a na swoim blogu.

Podczas pisania contentu dla czytelników, często celowo i bez zabezpieczeń umieszczał w treści fikcyjny adres e-mail, na który boty rzucały się całymi stadami i natychmiast zapisywały w odmętach spammerskich baz danych. Zdarzało mu się też czasem podrzucić kilka bzdurnych i zapętlonych linków, na które łapały się bezpańskie crawlery. Kręciły się w kółko na karuzeli źle napisanych algorytmów, nabijając w statystykach bloga liczniki wejść, póki Eryczek nie kasował posta z litości.

Babcia Eryczka wołała rzucać z okna kawałki mięsa.

Detektyw

(Opublikowane w **Szortal na wynos - wydanie specjalne** - Lato 2015)

Robin Bret był chyba najgorzej opłacanym detektywem w mieście. A to ze względu na brak premii, których przełożeni regularnie mu skąpili. Zresztą nie było w tym nic dziwnego, miał przecież najgorszą wykrywalność w całym Wydziale Zabójstw. Tego zaś przyczyną był fakt, że Bret tropił najczęściej morderstwa dokonane przez samego siebie, więc siłą rzeczy, kiedy już udało mu się sprawę rozwiązać, nie dokonywał aresztowania.

Ofiara, w której mieszkaniu się znajdował, była młodą, atrakcyjną brunetką – tyle mówiły stojące na szafce zdjęcia, bo zabójca sprawił, że twarz dziewczyny zmieniała się w zwęgloną skorupę.

Stojący w drzwiach technik pstryknął fotkę i przesunął się, wpuszczając do środka niecierpliwącego się nekromantę. Robin go znał.

– Cześć, John – rzucił, odsuwając się od łóżka, na którym leżała zamordowana.

Przybyły mruknął coś niechętnie pod nosem i stanął przy dziewczynie, kładąc obok resztek jej policzka małą walizkę.

– Znowu wypalona – stwierdził.

Westchnął z rezygnacją i zaczął rozstawiać sprzęt.

Robin wiedział, co nekromanta ma na myśli. Nie da się zdjąć cyfrowego zapisu, morderca wypalił dziewczynie ośrodki pamięci długotrwałej. Prawdopodobnie potylicą ofiary była równie poparzona jak twarz, ale to mieli sprawdzić za chwilę. John Sully widział takie ślady wielokrotnie w swojej karierze i zdawał sobie sprawę, że nic z ofiary nie wyczyta. Robin również miał okazję widzieć podobnie okaleczone ciała i również wiedział, że odczyt przy takich uszkodzeniach jest niemożliwy. A Sully był dodatkowo niezadowolony, bo fakt, że o tym wiedział, nie zwalniał go z obowiązku przeprowadzania procedury nekroskopii.

Otworzył walizkę, wyciągnął torbę foliową z jednorazową pajęczyną siatki elektrodowej i naciągnął ją na zmasakrowaną głowę ofiary. Potem usiadł na stojącym przy łóżku krześle i nałożył sobie na czoło odbiornik.

Detektyw wiedział, co teraz się stanie. John będzie miał drgawki, będzie rzucał pod nosem pojedyncze, oderwane słowa, jakby mamrotał istotne dla całego procesu zaklęcia. Ale to były tylko „echa”, przesyłane przez nekrograf resztki pamięci zamordowanej werbalizowane przez umysł nekromanty. Resztki dogorywającej, niewysmażonej do końca pamięci semantycznej.

Robin potarł odruchowo prawą skroń, na której tuż przy gęstej brwi wszczipiony miał obiektyw

mem-camu. Wypadek, którego doznał trzy lata temu sprawił, że cierpiał na zaniki pamięci, a podłączony do mózgu mem-cam pozwalał mu odtwarzać i przypominać sobie minione zdarzenia. Ot, prosty zabieg, seryjny implant i gotowe. Urządzenie dawało się jednak wyłączyć, a Robin zdawał sobie sprawę z coraz częściej przytrafiających mu się zamierzonych amnezji. To, że zamordował tę dziewczynę, było pewne. Potwierdzał to zarówno sposób, w jaki wyczyszczono pamięć ofiary, jak i skrzyżowane palce u jej lewej dłoni. Aż dziwne, że nikt inny z Wydziału nie zwrócił uwagi na ten mały podpis seryjnego mordercy. Ktoś w końcu na to wpadnie.

W międzyczasie nekromanta skończył się trząść, stękać i bełkotać nad ofiarą i detektyw miał wrażenie, że wszystko poszło szybciej niż zwykle. Sully otarł czoło i usta dobytą skądś chusteczką, po czym zaczął się pakować.

– I co? – zapytał Robin ze zwykłej grzeczności.

– Gówno – usłyszał w odpowiedzi.

Wzruszył ramionami. Czyli brak odczytu. Normalka.

Ponownie spojrzął na zdjęcie uśmiechniętej dziewczyny i zamyślił się. Jeśli wypadek, którego doznał, spowodował jakieś zmiany w mózgu, jeśli wywołał jakieś psychotyczne dewiacje, pod wpływem których mordował te wszystkie kobiety... powinien się zgłosić. Zadenuncjować się. Pójść do kapitana, przyznać się do wszystkiego.

Niestety większą przyjemność sprawiało mu odkrywanie prawdy kawałek po kawałku. W jaki sposób poznał ofiarę? Przecież nigdy wcześniej nie widział jej na oczy. Jaki miał motyw?

Nekromanta opuszczał właśnie pokój klnąc cicho pod nosem.

Robin skinął na stojącego w kącie patologa.

– Zaczynaj pan – wskazał ofiarę. – Do jutra chcę wiedzieć, co było dokładną przyczyną śmierci.

Rozpoczęło się polowanie.

Piwnica

(Opublikowane w **Szortal na wynos - wydanie specjalne** - Lato 2015)

– Daj mi wody – mówię do Rudej.

Nie słyszy mnie. Albo prędeż udaje, że mnie nie słyszy, na jedno wychodzi. Siedzi skulona pod ścianą, brudną twarz schowała między kolanami.

– Wody! – powtarzam głośniej.

Nic. Z boku dobiega mamrotanie Januszka. Trzyma matkę za rękę, głaszcze jej dłoń i kiwa się rytmicznie. W przód. W tył. W przód. W tył. Jak wahadło.

Jego nie mam co prosić, nie odszedłby od łóżka, nawet gdyby świat się zawalił. A przecież się zawalił.

Głośny rechot przecina ciszę w piwnicy. Chrapliwy i suchy.

Uświadamiam sobie, że słyszę własny śmiech. Morfina zaczęła działać. Zaraz odpłynę.

– Ruda! – krzyczę. – Daj mi! Kurwa! Wody!

Gorączkowo obmacuję swoją wojskową kurtkę i w kieszeni na piersi znajduję kilka monet. Rzucam je wszystkie w stronę dziewczyny. Podskakuje, kiedy spadają na jej głowę i ramiona. Drobne, brzęcząc, toczą się w ciemność.

Ruda kuli się jeszcze bardziej.

– Widzę, że nie śpisz, pizdo! – warczę. – Pić! Chce mi się pić!

Nic.

Jest mi niewygodnie. Opieram się o ścianę plecami, a tyłek marznie od zimnej podłogi.

Zacieram ręce. Chcę zrobić coś jeszcze, żeby wybić Rudą z tego stuporu, ale już po chwili wszystko mi obojętnieje. Moje złorzeczenia pod adresem dziewczyny szybko zmieniają się w bełkot, a i ten po chwili gaśnie.

Robi mi się wszystko jedno.

Robi mi się błogo.

Tylko ta suchość w ustach.

Próbuję oblizać wargi. Raz, drugi, trzeci.

Nic.

Budzi mnie mantra Januszka. Niekończący się słowotok. Jego codzienny koncert życzeń dla

mamusi.

– ...a potem pójdziemy do parku. Do Łazienek. Albo na Pole Mokotowskie. Albo na Starówkę... – Chłopak poprawia koc, którym przykryta jest kobieta.

Wyciągam głowę, żeby się jej przyjrzeć, ale dostrzegam tylko fragment czupryny. W ich kącie jest tak ciemno, że nawet nie potrafię określić koloru jej włosów. Przyświecająca nam latarka skierowana jest w inną stronę.

– ...staniemy pod Kolumną Zygmunta, tak jak kiedyś. I pójdziemy do Zamku Królewskiego. Albo nad Wisłę, mamu. Popłyniemy tramwajem wodnym. Kiedyś się bałem, pamiętasz? Ale teraz się nie boję. Popłyniemy.

Mimowolnie zaczynam się śmiać. Nerwowo. Przecieram spierzchnięte usta, potem oczy.

– Przestać pieprzyć, chłopaku! – wtrącam głośno. Ile ten dzieciak ma lat? Czternaście? Piętnaście? – Nie ma już Kolumny Zygmunta! Nie ma parków w Warszawie!

– Niech pan się zamknie! – słyszę w odpowiedzi i zaczynam się śmiać jeszcze głośniejszym głosem z tej ugrzecznionej złości Januszka.

– Wisła?! – Podnoszę głos. – Warszawa nie leży już nad Wisłą! Przestań już gadać te bzdury. Wody byś przyniósł.

Chłopak zatyka uszy i wtula głowę gdzieś obok głowy swojej rodzicielki.

Śwędzi mnie lewa stopa. Odsuwam okrywający mnie koc i sięgam w dół, żeby się podrapać. Palce trafiają w próżnię. No tak. Moja noga. Od kolana w dół zamieniła się w brak nogi. Ile to już? Dwa tygodnie? Nie mam lewej śwędzącej stopy. To bóle fantomowe. Tak to chyba nazwała Natka. Bóle fantomowe.

Zamyślam się na chwilę. Natka. Ostatni anioł na tym pierdolonym padole. Upadły anioł. Nie, to złe słowo. Zbrukany. Przedstawiła się jako Natka i od razu dodała, że to zdrobnienie od Natalii, a nie od Nataszy. Biedna dziewczyna. Jak to jest zostać zgwałconą przez ludzi, od których oczekuje się pomocy? Nie przez wroga, nie przez okupanta, ale przez „swoich”. Rodaków.

Ile czasu minęło, od kiedy wyszła poszukać wody? Nie wiem. Zgubiłem się. Nie liczyłem dni, a odkąd Ruda oddała mi we władanie pudełko z ampułkami morfiny, upływ czasu stał mi się zupełnie obojętny.

Przypomina mi się nagle imię Rudej – Maria. Tak przynajmniej twierdziła Natka, która z nią rozmawiała. Do mnie dziewczyna nie odezwała się do tej pory ani słowem.

– ...nie słuchaj go, mamu – dobiega mnie z boku. – To zły człowiek. Kłamca. Pamiętasz, jak mówiłaś, że są tacy ludzie? Kłamią, żeby kłamać. To jeden z nich.

– Pierdolony – mruczę pod nosem i głośno już dodaję: – Wody idź poszukaj, gnoju! Bo ci staruszka wyschnie na wiórek!

Chłopak znowu wtula się w matkę.

Rozglądam się, ale nie widzę Rudej. Pewnie wyszła za potrzebą. Tylko wtedy opuszcza piwnicę. Zwykle siedzi pod ścianą, skulona, i udaje, że jej nie ma.

Noga mnie boli. Pieprzone wnyki. Gdyby nie Natalia... Miała wystarczająco siły, żeby wciągnąć mnie do tej piwnicy i zająć się moją straskaną pieszczelą. Powiedziała, że nie da się jej poskładać. Kiedyś pewnie tak – poskręciliby na śruby i uratowali. A teraz... Mówiła, że przed Błyskiem była lekarką. Chirurgiem. Po Błysku stała się nikim – jak wielu innych. Uwierzyłem jej dopiero, gdy zobaczyłem kikut nogi, z opatrzonymi naczyniami krwionośnymi i podwiniętą skórą. Prawie się wtedy porzygałem.

Potem przyszła złość. Natka mówiła coś, że będę przechodził kilka faz. Złość, odrzucenie, akceptacja... Bzdury. Teraz przechodziłem fazę pragnienia.

– Ruda! – krzyknąłem.

– ...pójdziemy znowu na Plac Konstytucji, tam gdzie była ta kawiarenka i te pyszne lody...

– Maria!

– ...albo hamburgery w MacDonaldzie. Wiem, że nie powinienem, ale... mam. Jestem taki głodny...

– Zamknij mordę! – wyję. – Tam nic nie ma! Nic!!

Głos Januszka nie milknie nawet na chwilę, tylko wchodzi jakby na wyższe obroty. Chłopak znowu ujmuje dłoń matki i głaszcze ją delikatnie. Nie przestaje ględzić.

Pocieram wierzchem dłoni brodę i próbuję ocenić upływ czasu. Nic mi to nie daje. Uświadamiam sobie jedynie, że dawno się nie goliłem.

– Januszek – chrypię. – Ile minęło czasu, od kiedy Natka wyszła?

Gówniarz burczy w odpowiedzi coś nieuprzejmego.

Wciągam mocno powietrze.

Coś śmierdzi. Obwąchuję się. Tak, to mogę być ja. Dawno się nie myłem, a po morfinie najwyraźniej zlałem się w gacie. Ale coś jeszcze.

– ...pójdziemy do KFC. Na frytki i colę...

– Januszek – wołam ostrożnie. – Twoja matka chyba umarła. I to jakiś czas temu?

Pociągam nosem mocniej.

– Niech pan się do mnie nie odzywa!

– Maria! – rozdieram się znowu. – Stara wykorkowała! I śmierdzi!

– Mamo, mamo, nie słuchaj go!

– Czekaj, gnojku!

Próbuję wstać. Mam w końcu drugą nogę. Nie muszę leżeć. Nie muszę, kurwa, leżeć! Odrywam

się od ściany, o którą się opierałem do tej pory i próbuję się unieść, ale zawadzam o coś kikutem i z bólu ciemnieje mi w oczach. Kręci mi się w głowie. Jednak nie dam rady.

Przewracam się na brzuch, a noga protestuje wzmożonym bólem. Zaciskam zęby.

– Kiedy wyszła? – powtarzam pytanie ciężkim głosem i przesuwam się nieznacznie w stronę chłopaka.

Nie słyszę odpowiedzi, więc znowu spinam się i przyciągam o kolejne pół metra. I jeszcze trochę. Pot spływa mi po nosie.

– Kiedy? Kiedy, Januszek?

Dzieciak milczy. Przytulił twarz do głowy matki i zerka na mnie nerwowo.

Metr po metrze przyczołguję się do łóżka. Wspieram się, opierając na zdrowej nodze i unoszę wyżej. W końcu mogę stwierdzić, że jego matka była blondynką.

Ale gdy dostrzegam, że jeden z policzków kobiety jest wygryziony, a przez dziurę w nim świecą białe zęby, rzucam się odruchowo w tył.

Brakuje mi podparcia. Potykam się i upadam na plecy. Walę potylicą o podłogę, jednak nie tracę przytomności. Wspierając się na rękach, nie odrywając wzroku od Januszka, wycofuję się jak najdalej od łóżka. Synek, kurwa! Jebany trupojad!

– Kurwa mać! – krzyczę.

Czołgam się na drugą stronę piwnicy, tam gdzie leży latarka. Kikut ciągnie i jest źródłem nieustającego bólu. Powinienem sobie wstrzyknąć morfinę. Może chociaż pół ampułki, żeby mnie nie wyłączyło, tylko żeby przestało tak cholernie napieprzać! Łokieć za łokciem, odpychając się zdrową nogą, przesuwam się bliżej drzwi.

Łapię latarkę. Omiotam snopem światła Januszka i zwłoki jego starej.

– Natka! – wołam. – Maria?!

Odpowiada mi cisza.

Powinienem stąd wiać, ale nie mam siły.

Kieruję latarkę w stronę wyjścia z piwnicy. Drzwi są uchylone. Przyświecam w głąb korytarza i dostrzegam parę unoszących się w powietrzu butów. To szmaciaki Rudej.

– Nie, kurwa – szepczę i przyświecam wyżej. Opuchnięta twarz. Otwarte oczy. Ruda. A przynajmniej coś, co kiedyś nią było.

Klnę jak nigdy dotąd.

Ale na dziewczynie nie robi to żadnego wrażenia.

Znowu mi się kręci w głowie. Pić!

Zamykam oczy.

Dalej w piwnicy czuję ten słodki odór rozkładu.

Jakaś myśl nie daje mi spokoju. Dręczy. Wierci dziurę w mózgu.

Siadam pod ścianą i z namysłem spoglądam na opatrunek wieńczący mój kikut. Odwijam go ostrożnie. Smrodek, który czułem wcześniej, staje się intensywniejszy. Obwążuję bandaż. Mimo tego, że dawno nic nie jadłem, jakaś kula podchodzi mi do gardła, a ślina wypełnia mi usta. Powstrzymuję wymioty.

I nagle zaczynam się śmiać. Najpierw wydobywa się ze mnie krótkie parsknięcie, potem rechoczę głośniejsze i coraz dłużej. Rzucam bandaż w kąt i ocieram oczy wierzchem dłoni.

– Januszek!

Chłopak zupełnie mnie ignoruje, buja się jedynie w przód i w tył, ściskając matkę za rękę.

– Januszek! Podaj mi morfinę.

Jego coraz głośniejsze mamrotanie sprawia, że mocniej kręci mi się w głowie. Opieram się wygodniej o ścianę.

– Januszek, kurwa! Przynieś mi pudełko. Jestem za słaby.

Bez odzewu.

Tylko jego głos, silniejszy z każdym wypowiedzianym słowem, wypełnia powoli całą piwnicę:

– ...mamo, mamo, mamo....

Zatykam uszy.

– ...mamo, mamo, mamo...

Joachim

(Opublikowane w **Szortal na wynos** - grudzień 2015)

Joachim nie był nikim ważnym. Na dobrą sprawę po prostu był nikim.

Wiódł bezbarwne i puste życie – problemy omijały go z daleka, a szczęście trzymało się w bezpiecznej odległości.

Kiedyś, podczas kąpieli, Joachim zastanowił się, co wypłynęłoby z niego, gdyby otworzył sobie żyły. Och, oczywiście wiedział, że krew, ale miał dziwne przeczucie, że nie tylko. Naturalnie Joachim był niespełna rozumu. Kiedyś podobna myśl pewnie by go przeraziła – ostre narzędzie, okaleczenie się, ból – okropność! Ale tym razem nie poczuł zwykłego wstrętu czy obrzydzenia, bardziej ciekawość.

Tego dnia nic z tym nie zrobił.

Jednak pomysł zagnieździł się w głowie Joachima, zapuścił korzenie i przypominał o sobie regularnie, podczas kolejnych kąpieli.

Siódmego dnia Joachim podjął decyzję.

Sposób w jaki tego dokonał nie był istotny, ważne było, że nie zawiodło go przeczucie i wraz z krwią, której obecność traktował jako efekt uboczny eksperymentu, wypłynęły wspomnienia. Wyszczyły się z niego powoli, wlały do wanny i otoczyły szczelnym kokonem.

Najpierw zaczęły go mrowić palce u nóg. Poczuł nimi nagrany piasek plaż Turcji i Egiptu, ale też i grubsze ziarenka znad rodzimego Bałtyku. Zanim zdążył się nacieszyć tym wspomnieniem, na łydce poczuł zęby psa, który ugryzł go przed dwudziestoma laty. Podkurczył odruchowo nogę, a wtedy w pośladek trafił klaps, ten sam, który dostał od swojej ukochanej, zanim odeszła. Mówiła, że ma fajny tyłek. Wspomnienie, które sięgnęło podbrzusza, sprawiło, że Joachim zawstydził się pruderyjnie. Ale potem coś wymierzyło mu cios, trochę pod pępkiem. Rozpoznał to przewlekłe kłucie – zapalenie wyrostka sprzed trzech lat. A potem poczuł astmatyczną duszność w piersi. Nogi znowu biegły przez pobliskie pola, kiedy jeszcze dbał o zdrowie. Zacisnął dłoń na starym dłucie, którym usiłował kiedyś rzeźbić w kawałku drewna. Dłuto zmieniło się w glinę, którą dawno temu ugniatał na zajęciach plastyki. Pod nos podpłynął zapach pierogów.

Wysłuchany we wspomnienia Joachim siedział tam tak długo, póki nie umarł.

Ale nie wiedział o tym, bo rozpuścił się w wodzie.

Właściwie to żył jeszcze w wannie pełnej wspomnień, nawet kiedy jego ciało zostało z niej wydobyte, zapakowane w czarny worek i wywiezione do kostnicy.

Aż na koniec ktoś wyjął korek i świadomość Joachima rozproszyła się w ściekach. Płynąc

rurami, Joachim zdążył się zastanowić, czy jego jaźń stopi się w jedność z miejską oczyszczalnią.
Oczywiście tak się nie stało.

Potwory

(Opublikowane w **Szortal na wynos** - marzec 2015)

Ciszę przerywa głośny okrzyk.

Unoszę ciężko głowę i spoglądam przed siebie. To mój pan. Pędzi galopem jak wichur, z opuszczoną przyłbicą. Wbija ostrogi w boki konia. Dolatują mnie jakieś słowa o bestiach, potworach, które trzeba pokonać.

Po plecach przebiega mi dreszcz, a zęby zaciskają się nerwowo. Znowu to samo.

Ruszam powoli za nim. Nie spieszę się. Nie zatrzymam go przecież i mu nie przeszkodzę. Zbyt wiele razy już próbowałem.

Zdejmuję kapelusz i ocieram czoło. Nad uchem bzyczy mucha, odganiam ją niecierpliwym gestem. Co za upał!

Widzę, jak mój pan opuszcza kopię, pochyla się i usztywnia rękę trzymającą długie drzewce, jak prostuje się tuż przed samym uderzeniem. Odwracam wzrok.

Nie chcę tego oglądać.

Słyszę głuchy odgłos, głośny jęk blach pancerza i trzask pękającego drewna.

Mój pan leży na plecach. Nie rusza się, ręce ma rozrzucone na boki. Jego koń odchodzi dwa kroki w bok, zawraca nerwowo i zwiesza smętnie głowę. Przywykł. Tak jak ja.

Zsiadam z osiołka i klękam obok mego pana. Ściągam mu rękawice. Uruchamiam moduł diagnostyczny pakietu medycznego i przypinam elektrody. Sprawdzam tętno i oddech. Szukam złamań, tętniaków pourazowych i krwiaków podtwardówkowych. Ekran wyświetla wyniki, a iniektor w tym czasie wkłuwają się w żyły i dozują jakieś płyny.

Siadam pod ścianą, opierając się o nią plecami. Ujmuję delikatnie dłoń mego pana i gładzę ją lekko. Jest strasznie wychudzona.

– Mogę uleczyć twoje ciało – mruczę cicho – Dlaczego nie mogę uleczyć twojej duszy?

Nad nami leniwie obracają się ramiona wiatraka.

Poranek

(Opublikowane w **Szortal na wynos** - marzec 2015)

Coś wyrywa mnie ze snu. Szarpanie za ramię.

– ...dasz radę... – słyszę. Głos jest bezbarwny i chrapliwy, jakby jego właściciel za dużo wypalił poprzedniej nocy.

Obracam się na drugi bok i próbuję ukryć twarz w poduszce. Iskra świadomości, która raczyła we mnie na chwilę rozbłysnąć, zgasła i zdecydowała się jednak spać dalej.

Czuję nagle, jak obce ręce chwytają mnie pod pachy i w ułamku sekundy ląduję mordą na podłodze. Staram się podnieść, ale rezultaty nie są zadowalające.

„Jestem płaski”, myślę. „Jestem płaszczakiem, prostą analogią nauczycieli fizyki służącą do opisywania życia zredukowanego do dwóch wymiarów...”

Muszę wstać.

Najpierw kolana, trzeba podciągnąć wyżej dupę, łokcie w górę i oprzeć się na rękach. Na razie stać mnie tylko na tyle. Do łazienki docieram na czworakach, a oczy otwieram dopiero kiedy przypieprzam skronią w szafkę. No dawaj, wstawaj, tam jest umywalka, więc odkręć wodę, zacznij rytuał i wypierdalaj do pracy.

I gdy kończę ablucje, kiedy się już rozkręcam, kiedy wydaje się, że tym razem będzie dobrze, nagle – stop! Hamulec! Muszę się ubrać, a czuję się jak kobieta, która ma dwie szafy zajebane ciuchami pod sam sufit i nie ma co na siebie włożyć. Brak pomysłu.

Zaczynam więc od rzeczy najprostszych.

Ze stojącej na pralce miski wydaję uśmiech i zakładam na pysk. Uśmiech jest krzywy, ironiczny, paskudny po prostu. Do prania. To może ten? Za smutny. A ten? Co to, kurwa, jest!? To w ogóle nie przypomina uśmiechu, to jakiś odpychający grymas! Grzebię dalej, wybieram, wybrzydzam i w końcu znajduję coś dziwnego. Uśmiech poządlivy, namolny, z przyszytym napalonym spojrzeniem. To chyba nie moje?

Wzdycham. Nic z tego nie będzie. Pamiętam, że miałem gdzieś nikły uśmiech, ale nie mogę go teraz znaleźć. A może go wyrzuciłem razem ze zblazowanym i niepewnym? Trudno, dziś będzie Dzień Kamiennej Japy.

Przechodzę do pokoju i otwieram szafę. *Fuck*, co za bajzel! No i w co tu się ubrać, no w co?

Radość jest tak wygnieciona, że wstyd byłoby założyć, a zresztą, nie mam do niej uśmiechu. Won! – rzucam ją w kąt. To może jakieś silne postanowienie? Leży kilka na półce. Przebieram wśród nich i ze zgrozą znajduję jedno noworoczne sprzed... dziesięciu lat? Wyciągam je i oglądam

pod światło, wygląda jakby opierdoliły je mole i to dość dawno. Trzeba się będzie tego jak najszybciej pozbyć zanim... Niestety jest za późno. Reszta postanowień jest równie zniszczona. Zaniebane, dziurawe, żalosne. Precz z szafy!

To może zaufanie? Ha, ha, zaufanie! Dobrze sobie, coś mam nie tak z głową dzisiaj. Zaufanie, też coś. Równie dobrze mógłbym założyć uprzejmość do tramwaju. Bzdura!

O! To dobre – wyciągam z szafy obojętność, grubą, porządnie utkaną. „Hartowana w relacjach międzyludzkich”, czytam na metce, „Made in Poland”. Nie pamiętam skąd ją mam, ale będzie doskonała jako wierzchnie okrycie. Na spód trzeba znaleźć coś innego. Odkładam ją na krzesło obok. Chyba tu się wczoraj rozbierałem, bo znajduję walające się po podłodze niechęć, ból dupy, kilka brzydkich słów i dwie cięte riposty. Schylam się i podłączam riposty do ładowarki, przydadzą się jutro.

Co ja tu jeszcze mam? Opryskliwość i chamstwo w dwóch wariantach – zwykłe burackie i drugie złożone, wysublimowane, na specjalne okazje.

A co to?

W kącie za wyrzutami sumienia i poczuciem winy leżą – puste jak wydmuszki – miłość, nadzieja i worek z marzeniami. Worek jest szorstki i sparciały, cofam szybko dłoń, żeby przypadkiem się nie rozpruł. Kiedyś mi się to przytrafiło, marzenia rozpełzły się po całym domu, musiałem użyć rozpuszczalnika, żeby niektórych się pozbyć.

Wracam do łazienki. Nie uda mi się ten dzień. Jak poprzedni zresztą, nie ma co rozpaczać. Na szklanej półce pod lustrem leży kreska szarego proszku. Obok niej sporych rozmiarów *zipper bag* z całą resztą towaru. Zastanawiam się tylko chwilę. Roluję stówacza i wciągam nosem potężną dawkę prokrastynacji. Świat nagle blednie i staje się nijaki. Nawet nie przypuszczałem, jak wiele wyzwania otaczało mnie do tej pory. Teraz oddalają się ode mnie, znikają, rozpływają w powietrzu, wydaje mi się, że do tej pory nie mogłem oddychać, a teraz – luksus. Relaks. Czuję jednak, że diler mnie przekreślił, domieszał zwykłe lenistwo, gnojek.

Usypuję ścieżkę, ale zanim walnę kolejną porcję, z sypialni dobiega mnie jakiś hałas. Ruszam tam szybko, ale we łbie wszystko mi się już koncertowo pierdoli. Nie zdołam chyba dzisiaj wyjść z domu.

Znowu to słyszę. Chrapnięcie. W moim łóżku ktoś leży. Potargany, niegolony blondas, o mordzie bez wyrazu. Szarpię go za ramię.

– Może ty za mnie dasz radę? – pytam. Odwraca się do mnie plecami.

Łapię go pod pachy, wyciągam z łóżka i rzucam na podłogę. Sprzedałbym mu kopa, ale zawroty głowy nasilają się niebezpiecznie. Wskakuję na zwolnione miejsce i opatulam się mięciutką, przyjemnie ciepłą kołdrą. Słyszę, jak facet coś tam mruczy pod nosem, ale ja już zamykam oczy i

odpływam.

„Dasz radę”, myślę.

Tygrys i Czarownica

(Opublikowane w portalu fantastyka.pl – 2015)

O Czarownicy snuli legendy.

Ale jak ich nie snuć, kiedy nawet sam sołtys przyznawał niedyskretnie, że Czarownica mieszkała tu już wtedy, gdy jego własny pradziad był ledwie chłopcem.

Historii jej przybycia do wioski towarzyszyły opowieści o płonącym niebie i o gwiazdach, które nie tylko pozostawiały błyszczące smugi, ale naprawdę spadały z hukiem. Mówili, że to od tamtych wydarzeń, Wiara, jakby na przekór pozostałym dwóm księżycom, zaczął krążyć z zachodu na wschód.

Nikt nie wiedział jak było naprawdę, bo nikt nie pamiętał. Były tylko legendy, które coraz bardziej zniekształcone przechodziły z ojca na syna i z matki na córkę.

I była Czarownica.

Ona sama mawiała, że nie przybyła jedynie do tej jednej wsi, do Miłobądzi, a po prostu tę planetę wybrała jako nowy dom. A to miejsce? Bo to przecież lokalizacja wspaniała – niedaleko delty jednej z największych rzek kontynentu.

Kiwali ludzie zgodnie głowami, nie rozumiejąc co mówi do nich wielka pani, bo i nie potrzebowali rozumieć. Najważniejsze było, że choroby przepędziła wszelkie, te ludzkie i te bydlęce. A kiedy kogoś niemoc brała, choćby i największa, wystarczyło Czarownicę przez specjalne pudełko, które im podarowała wezwać, i zjawiała się natychmiast. Nawet jeśli to w innej wsi było, o wiele dni drogi oddalonej.

Czarownica zamieszkała godzinę drogi pieszo od Miłobądzi, w dziwnym domu ze szkła i połyskującego metalu, który wybudowała dla siebie w ciągu zaledwie jednej nocy.

Nikt nie wiedział czym zajmuje się Czarownica. Nikogo do siebie nie zapraszała, ni kobiet miłobądzkich, ni chłopów, ani nawet żadnego zwierzaka dla rozrywki w domu nie trzymała.

Pewnego razu chmury w niebie nad wsią zabłysły żywym ogniem. Rozjarzyły się, a potem rozstały. Wyleciało z nich coś olbrzymiego, co wyglądem trochę przypominało ptaka, ale nim nie było. Nawet jeśli Czarownica opowiadała kiedyś tubylcom o statkach kosmicznych, to nie skojarzyli tej opowieści z metalowym ptakiem, który właśnie lądował niedaleko wsi, na środku pól uprawnych.

Sołtys, którego mieszkańcy wysłali sprawdzić co to za cudo, został czymś poparzony, chociaż nawet nie zdołał podejść na rzut kamieniem do dziwnej maszyny. Uratował go syn, zawłókłszy ledwie żywego z powrotem do wioski. Żona sołtysa, przez magiczne pudełko wezwała Czarownicę.

Ale Czarownica już wiedziała, że coś się stało.

Szła przez pole do lądownika, nie zważając na ochronną barierę mikrofalową rozpalającą do czerwoności każdy żywy organizm w promieniu stu metrów. Zbliżając się do statku, muskała dłonią kłosa pszeniczne, które wręcz zdawały się dopraszać o taką pieśczętę i wdychała przesycone ich wonią gorące powietrze. Szła niespiesznie, ostrożnie podpatrując sześciu roślących żołnierzy rozkładających przed trapiem plecaki, śpiwory i namioty. Nie wiedzieli jej jeszcze.

– Ile zajmie naprawa, Walker? – rzucił jeden z nich, którego Czarownica zidentyfikowała po dystynkcjach na mundurze jako najstarszego stopniem.

Wywołany, jedyny brunet wśród jasnowłosych towarzyszy, wyprężył się.

– Dwa, może trzy dni, panie kapitanie! – odpowiedział. – To tylko awaria systemu podtrzymywania życia. Naprawimy go na planecie i możemy ruszać.

– Dobrze. – Kapitan odwrócił się do puciołowatego żołnierza stojącego nieco z boku. – Sierzancie, rozstawcie obóz. I wyprowadźcie Tygrysa. Nie chcę, żeby zdechł z braku tlenu, na nadającej się do życia planecie.

Rubaszny śmiech okraślił słowa kapitana.

– Blachowiak, Vogel – warknął sierżant ucinając wybuch wesołości. – Do roboty. Schronienie dla pana kapitana, migiem.

– Tak jest! – wydarli się wywołani i rzucili się do leżących pakunków.

– A wy dwaj – sierżant pokazał palcem Walkera i stojącego obok ostatniego z żołnierzy – wynieście Tygrysa i postawcie gdzieś z boku. A potem naprawcie to pudło.

Czarownica obserwowała, jak żołnierze, z pomocą sierżanta, pospiesznie rozkładają wysoki namiot.

Ale kiedy pozostali dwaj wynieśli Tygrysa, doznała wrażenia, że coś ścisnęło jej serce, albo że zabrakło jej zwyczajnie tchu. A może wszystko naraz.

Prawdziwy Tygrys z Persefony.

Leżał w klatce, opierając się barkiem o pręty. Głowę ułożył na grubych łapach o długich jak sztylety pazurach. Czerwonopomarańczowe futro w czarne pasy unosiło się w górę i w dół w kolejnych, ciężkich oddechach. Mimo pozornego spokoju, Tygrys zdawał się być spięty i gotowy do skoku. Koniuszek ogona drgał lekko.

– Uwolnijcie go! – powiedziała głośno Czarownica. – Natychmiast!

Rozkaz nie przyniósł spodziewanego efektu.

Kapitan sięgnął do kabury po pistolet i wymierzył w głowę Czarownicy. Sierżant wydobył nóż. Trzej żołnierze sięgnęli błyskawicznie po karabiny i podobnie jak kapitan, wycelowali je w stronę przybyłej.

– Na ziemię! – warknął kapitan.

– Na ziemię, suko! – przekrzykiwali się wzajemnie żołnierze.

– Jak przeszłaś barierę?! – krzyczał sierżant.

Walker jako jedyny nie sięgnął po broń i zachował spokój. Uniósł ręce, skierowane pustymi dłońmi w stronę Czarownicy.

– Panie kapitanie, niech pan schowa pistolet – powiedział powoli.

– Stul pysk! – ryknął sierżant – do oficera mówisz!

– Kapitanie! – Walker zignorował go i podniósł głos. – To Wiedźma. Odłóżmy broń.

Dowódca dalej mierzył w głowę kobiety. Ruszył powoli, zachodząc ją z boku.

– Brednie – oznajmił już spokojniej. – Singularianka? Mówisz o tej kontrolującej rzeczywistość na poziomie kwantowym rasie? Nie istniejącej, dodajmy, rasie? Których nazywają też Osobliwościami?

Każdemu jego słowu towarzyszył ostrożny krok, aż w końcu kapitan znalazł się zupełnie za plecami kobiety.

– Tak jest, panie kapitanie – potwierdził Walker. – Myślę, że powinniśmy zrobić co ona chce. Uwolnijmy Tygrysa.

– Zrobimy inaczej – oznajmił dowódca usztywniając rękę w łokciu.

Nikt nigdy nie dowiedział się co chciał zrobić kapitan, bo zniknął bezgłośnie, a wraz z nim pozostali żołnierze. Czarownica przez ułamek sekundy zawahała się, czy nie oszczędzić jednego z nich, tego nazwanego Walkerem, ale w końcu stwierdziła, że nie było warto.

Potem zniknęła klatkę.

– Dziękuję – powiedział Tygrys uprzejmie. – Jak się nazwa moja piękna wybawicielka?

– Tu nazywają mnie Czarownicą.

– Nazywaj mnie zatem Tygrysem.

Zmierzyli się wzrokiem. Jego pasiaste futro opinające prężne mięśnie. Jej ciemne włosy, spadające gładko jak jęzor smoły, aż po kształtne pośladki. Jego białe wąsiska. Jej gładka cera. Jego żółte oczy drapieźnika. Jej zielone oczy Wiedźmy.

Zaprosiła go gestem i ruszyli razem w stronę jej domu.

– Jak zostaje się Czarownicą? – spytał Tygrys. – Czy to niebezpieczne?

Roześmiała się. Nikt nigdy dotąd jej o to nie pytał.

– Nie bardzo. W dzieciństwie wrzucają nas w czarną dziurę, jakich pełno w galaktyce. Cała sztuka polega na tym, żeby uciec spod horyzontu zdarzeń w jednym kawałku. Łatwizna.

Zachichotali oboje.

Nie da się nie obejrzeć za piękną Singularianką. Nie da się zignorować przystojnego Tygrysa.

Kiedy szli razem przez wieś, ludzie przystawali i oglądali się za nimi jeszcze długo po tym, kiedy para zniknęła im z oczu.

Tego dnia wszyscy byli dla siebie lepsi.

Czarownica i Tygrys szli długo, dużo dłużej niż zwykle trwa droga do domu.

A gdzieś w połowie tej drogi i w połowie rozmowy, znużeni spacerem, ułożyli się obok siebie na dużej polanie pośrodku lasu. Czarownica nieśmiało wtuliła twarz w grzbiet Tygrysa i odetchnęła głęboko. Zapach sierści przeniknął jej nozdrza, przymknęła oczy i zamruczała cichutko. Przesunęła rękę z jego barku na pierś i wczepiła palce w gęste futro. Tygrys zastrzygł uszami i odwrócił głowę. Na pręgowanym pysku pojawiło się coś na kształt krzywego uśmiechu. Otworzył paszczę i chwycił dłoń Czarownicy. Ale choć zrobił to ostrożnie, ostry kieł przebił delikatną skórę tuż za knykciem palca wskazującego. Pojedyncza kropla krwi, która zjawiała się w tym miejscu, spłynęła po chwili w stronę kciuka. Tygrys zlizął ją szybko i jakby z zawstydzeniem. Wiedźma dmuchnęła mu karcąco w ucho i Tygrys ledwo powstrzymał nerwowe wzdrygnięcie. Trącił ją lekko nosem w odpowiedzi.

Poczuł nagle, jak jej ciało zmieniło się. Ciężar opierający mu się o plecy przesunął swój środek, ręka która go obejmowała stała się pręgowaną łapą, dłoń zgrubiała, palce ściągnęły się, a zadbane ludzkie paznokcie urosły, wydłużyły się, przekształcając w długie kocie pazury.

Poczuł nagle zapach samicy swojego gatunku, zwietrzył ruję i spiął się, zeszytywniał cały na to nieoczekiwane doznanie.

Ugryzła go w kark. Nie za lekko i nie za mocno, jakby dokładnie wiedziała jak wywołać najlepszy efekt. Pazurami przeorała mu bok, ale nie do krwi, choć na pewno stracił kilka kępek futra. Z rykiem zerwał się na nogi i poczuł jak Czarownica robi to samo. Odwrócił do niej ciężko dysząc.

Stała przed nim i przypatrywała mu się uważnie, krzywiąc pysk w odrobinę kpiącym uśmiechu. Wlepił spojrzenie w czarne punkty jej źrenic, w tęczówki bardziej żółte od jego własnych i obejrzał dokładnie umaszczenie na jej głowie a zwłaszcza układ pręg nad oczami, które nadawały jej pyskowi wyrazowi lekkiego zdziwienia. Przyjrzał się jej położonym w tył uszom, naprężonym do skoku muskułom tylnych łap i drgającemu końcowi ogona wysuwającemu się to z jednej, to z drugiej strony smukłego ciała Tygrysicy.

Czarownicy.

Na sztywnych łapach zbliżył się do niej, ich pyski prawie się spotkały, a wibryssy zetknęły się. Czarownicę przebiegł dreszcz, tak wyraźny, aż Tygrys fizycznie prawie poczuł jej podniecenie.

– Weźmiesz mnie w końcu? – usłyszał.

Wziął ją, a może wzięli się oboje, pod turkusowym niebem, na które wychynęły akurat wszystkie trzy księżycy. W ruch poszły zęby, mięśnie i ścięgna, ogony spletały i rozpletały się w

miłosnym uniesieniu. To on przygniatał ją do ziemi, to ona dosiadała go jak ogiera. To on zaciskał pazury na jej gardle, to ona gryzła go namiętnie w miękki brzuch.

Ponad chmurami Nadzieja goniła Miłość, a pod prąd cicho sunęła Wiara.

– Chciałbym wrócić na Persefonę – powiedział Tygrys długo potem. – Chciałbym żebyś mogła być tam ze mną. Zobaczyć te tropikalne lasy i wysokie trawy. Moglibyśmy polować razem.

– Mogę cię tam zabrać – wyszeptała Czarownica. – Możemy być razem, do końca dni.

Ich białe policzki spotkały się na krótką chwilę.

I stało się tak, że na Persefonie ona była u jego boku, a on zawsze przy niej.

A kiedy Tygrys umarł, Czarownica pochowała go, a ciało przykryła kamieniami.

Potem wróciła na swoją planetę.

W domu ze szkła i metalu, niedaleko Miłobądzi, często wspominała swojego Tygrysa.

Nigdy już się nie zakochała.

Antybadania

(Opublikowane w portalu fantastyka.pl – 2015)

Profesor Nowak wstrzymał powietrze i uruchomił procedurę otwarcia przejścia do antyświata.

Strumień wysokoenergetycznych antyprotonów rozdarł bezgłośnie czasoprzestrzeń, a przez powstałą w ten sposób dziurę ukazało się bliźniacze prawie laboratorium.

Zaterkotał, stojący w kącie, detektor pozytonów.

Profesor uśmiechnął się i pomachał ręką. Antyprofesor, stojący po drugiej stronie przejścia, uczynił coś dokładnie przeciwnego.

– Witaj – powiedział Nowak.

– Witaj – antypowiedział Antynowak.

Nie usłyszeli się jednak wzajemnie, bo dźwięk ich głosów rozbrzmiewał w przeciwfazie.

Antybadania

(Opublikowane w portalu fantastyka.pl – 2015)

Profesor Nowak wstrzymał powietrze i uruchomił procedurę otwarcia przejścia do antyświata.

Strumień wysokoenergetycznych antyprotonów rozdarł bezgłośnie czasoprzestrzeń, a przez powstałą w ten sposób dziurę ukazało się bliźniacze prawie laboratorium.

Zaterkotał, stojący w kącie, detektor pozytonów.

Profesor uśmiechnął się i pomachał ręką. Antyprofesor, stojący po drugiej stronie przejścia, uczynił coś dokładnie przeciwnego.

– Witaj – powiedział Nowak.

„Witaj” odpowiedział antyprofesor – ale –

Nie usłyszeli się jednak wzajemnie, bo dźwięk ich głosów rozbrzmiewał w przeciwfazie.

Historia przerażająca na dziewięć słów.

Onkolog był rozbawiony. Ujrzawszy mnie, spoważniał, podejrzenie zbyt mocno.

Czaromalowanie (drabble)

(Opublikowane w **Szortal na wynos** - wrzesień 2015)

Była ekscentryczną malarką.

Lubiła eksperymentować z technikami, często domieszkowała farby swoimi wynalazkami. Przykładowo do cytrynowej żółci dodawała ekstrakt z kaczeńców, a do makowej czerwieni – a jakże! – zebrane o zachodzie słońca płatki maków. Kwiaty namalowane takimi barwami wymagały stałej pielęgnacji – a to regularnego spryskiwania, a to zmiany poźółkłej wody – inaczej schły, kruszyły się i sypały poza ramy obrazów, zostawiając na podłodze ulotny zapach terpentyny. Kiedyś nawet wyrzuciła trzy martwe natury, bo niedogłądane płótna przegniły od zepsutych owoców.

Jednak najgorszy w utrzymaniu był portret jej zmarłego męża, naszkicowany czernią pozyskaną ze spalonych włosów.

Henryk był cudownym brunetem, ale nienawidziła go codziennie golić.

Książka

Położyłem dłoń na jej grzbiecie, przyciągnąłem do siebie jednym płynnym ruchem, zdecydowanym i jednocześnie ostrożnym. Drugą ręką sięgnąłem pod obwolutę i zsunąłem ją delikatnie. Nie opierała się. Nigdy się nie opierała. Dłoń drżała mi nerwowo, jak zawsze w takiej chwili. Obwoluta spadła na podłogę, a ona leżała tam przede mną naga, pachnąca. Pod wpływem mojego dotyku rozchyliła okładki, odsłaniając cienkie alabastrowe strony pokryte drobnymi tatuażami opowieści.

Za każdym razem zadawałem sobie to samo pytanie – czy kocham ją bardziej za ten oszałamiający wygląd, czy za historie, których miała dla mnie bez liku. Niektóre z nich powtarzała już tyle razy, a ja za każdym razem pragnąłem je przeżywać, za każdym razem odkrywałem je na nowo. Nigdy nie miałem ich dosyć. Ani jej.

Lecz kiedyś, w przypiływie szaleństwa próbowałem coś poprawić, przerobić. Niezmywalnym mazakiem zawładnąć jej opowieścią i odmienić zakończenie. Zrozpaczony, pełen bólu naderwałem jej kartkę.

Wtedy zamknęła się dla mnie. Zniknęła z mojego życia.

Nie byłem już jej czytelnikiem.

I nigdy już nie będę.

Święta (dribble)

Nie
były to
pierwsze święta,
kiedy ją pominęto.
Jej
koleżanki
oczywiście miały
branie. Zarówno starsze,
jak i te młodsze, ledwie od ziemi odrosłe.
Drwale
ignorowali ją,
obchodzili łukiem
i celowo omijali wzrokiem.
Jakby to z jej winy ich kolega upił się i powiesił
wtedy,
lata
temu,
na
jej najgrubszej gałęzi.

Święta (dribble)

Nie
były to
pierwsze święta,
kiedy ją pominięto.
Jej
koleżanki
oczywiście miały
branie. Zarówno starsze,
jak i te młodsze, ledwie od ziemi odrosłe.
Drwale
ignorowali ją,
obchodzili łukiem
i celowo omijali wzrokiem.
Jakby to z jej winy ich kolega upił się i powiesił
wtedy,
lata
temu,
na
jej najgrubszej gałęzi.

Figurki (drabble)

– Figurki, figurki zmieniajcie się... – krzyczy odwrócona do nas plecami Anka. To nasza sąsiadka zza Mrówki, często się razem bawimy.

Pawełek rozkłada szeroko ręce i rozcapierza palce, a Michał staje w rozkroku i pochyla niebezpiecznie. Ja wyprężam się na baczność.

Jest strasznie gorąco.

Brzęczą muchy.

Anka wykonuje na pięcie piruet i spogląda wyzywająco.

Żaden z nas nie porusza się, chociaż ledwie się powstrzymujemy aby nie wybuchnąć śmiechem.

Ale Anka nie patrzy na nas, tylko trochę wyżej, ponad naszymi głowami. Jej olbrzymie, czarne oczy rozszerzają się.

– Figurki, figurki, zmieniajcie się – słyszę w głowie.

To tamten dzień mnie zmienił, tamten mężczyzna, nie Anka.

Zbanowany (drabble)

(Opublikowane w Drabble Na Niedzielę – 75/76 / 2015)

Zostałem skazany. Orzeczono wobec mnie zakaz dostępu do sieci. Dokądkolwiek idę, gdziekolwiek próbuję skorzystać z komputera – mam bana. Czy to smartfon mojej babci, lodówka matki, czy interaktywna mapa w centrum handlowym – identyfikują mnie czujniki biometryczne i witają ograniczeniami.

Ale nie poddaję się!

Podejmuję z konta wszystkie oszczędności, zapożyczam się i na czarnym rynku nabywam ciało z usługą transferu osobowości. Obok *in vitro* najbardziej nielegalny syf w kraju.

Operacja trwa dziesięć minut, rekonwalescencja – dwa tygodnie, ale w końcu loguję się do netu jako nowy użytkownik.

Christ-OS: Dostęp wzbroniony.
Fingerprint twojej duszy znajduje się na indeksie.

Czytam odpowiedź systemu i bezgłośnie połykam łzy.

Niedziela na Służewcu (drabble)

Zagraj zwyczajnie, Stasiu. Znaczy... z góry postaw, cholera... na wygranego! A potem puść porządek. Dwa konie wybierz albo trzy, trzy możesz w kółko zagrać, czyli w boksie. Co to porządek? No, że wygrywasz jak w dowolnej kolejności przybiegną. Nie wiem dlaczego nazywają to porządek, ale jak chcesz w porządku obstawić, to dwójkę zagraj. Albo trójkę, czwórkę... Dograj parę koni do pierwszego i drugiego, a resztę ścianą! Mnie tripla właśnie się skończy. Tripla? No trzy biegi po sobie z góry. A potem kwinta – to taka tripla, tyle że na pięć gonitw...

Zagrałeś, Stasiu? Masz bilety? Chodź. Pierwszą wódkę ja stawiam.

Desant (drabble)

Zaskoczenie Obcych było zupełne.

Ludzki desant zrzucony rankiem nie pozostawił żadnych złudzeń – planeta została zaatakowana. Obcy ogłosili mobilizację. Pięć klanów, toczących od lat wyniszczającą wzajemnie wojnę, bez wahania zjednoczyło swoje armie, aby przeciwstawić się agresorowi.

Ale żadna istota w kosmosie nie mogła mierzyć się z najbrutalniejszymi ludzkimi komandosami złożonymi z najsurowszych, najbardziej doświadczonych lekarzy orzeczników ZUS.

Którędy przeszedł ich oddział, tam zostawały tylko puste skorupy Obcych.

Później mawiano, że jeden z pułkowników ulitował się nad przypadkiem ocalałym, pozbawionym kończyn Obcym. Podobno kazał mu odejść, a Obcy odszedł.

Ale kto by wierzył tym żołnierskim historiom...

Wieczorem na planecie wylądowała piechota Skarbówki.

Czarownica (drabble)

Im dłużej siedział w chatce, tym bardziej obawiał się gospodyni. Ładna była, zadbana, o uśmiechu cudnym jak majowy poranek. A jednak miała w spojrzeniu głód jakiś drapieżny, coś pociągającego i przerażającego zarazem, coś, przez co chciał wybiec z chaty z krzykiem i zaszyć się w lasach.

Ale jak iść w Żywe Bory nocą?

Samojeden?

Po śmierć?!

Więc czekał bezradnie ranka, a ona zerkała czujnie, uśmiechając się leciutko znad robótki. Uprzejmy był to uśmiech i grzeczny, lecz takie składał obietnice, że pęcherz cisnął ze strachu i zęby szczękały.

Kiedy usnął zmęczony przy stole, wyśnił, że coś go żywcem od środka wyjadło.

Heros (drabble)

– Jesteś moim superbohaterem. Moim herosem! – mamrocze do mnie pijany James, a jego głowa opada na kontuar.

Odsuwam dzielące nas szklanki i klepię go w ramię. Nic.

Chwytam go za kołnierz, żeby nie zsunął się na podłogę. Gestem odganiam prostytutkę, usiłującą skubnąć Jamesowi portfel i odstraszam warknięciem jakiegoś szczeniaka, który chce zepchnąć go ze stołka.

Wzrokiem ściągam Pałę i Rudego. Co za pseudonimy... Zauważyliście, że ludzie są coraz wyżsi? Że takich ksyw jak „Mały” albo „Krótki” jest coraz mniej?

Wzdycham ciężko i zamawiam taksówkę, podczas gdy bramkarze wyciągają Jamesa na zewnątrz.

„Oczywiście, że jestem twoim superbohaterem” – myślę, uśmiechając się.

„Jestem Barmanem”.

Stowarzyszenie Samobójców (drabble)

Spotykali się wieczorami, albo późną nocą. Zawsze było ich siedmiu. Szczęśliwa liczba. Gdy jeden odszedł, dołączał kolejny i zajmował puste miejsce.

Włóczyli się po miejskich cmentarzach, albo parkach, czy też okolicznych lasach i rozmawiali o swoich nieszczęściach. O dręczących ich problemach, o miałkim, męczącym życiu, za którym nie nadążają, aż temat zbaczał ostatecznie na Tych, Którzy Odeszli. Wspominali ich z czcią i zazdrościli odwagi.

Opowiadali, podekscytowani, o sposobach samobójstwa jakie wybiorą, dyskutowali o ich wadach i zaletach, o planach na krótką przyszłość.

Nigdy nie zastanawiali się dlaczego prezes Stowarzyszenia ma siwą brodę i pomarszczoną skórę.

I takie błyszczące podnieceniem oczy.

Pies (drabble)

Tylko pies z kulawą nogą przyszedł na pogrzeb starego Gwizdonia. Nie kierowało nim nic szczególnego, żadna tam tęsknota czy smutek, ledwo kojarzył fakt, że kilka miesięcy wcześniej ten człowiek rzucił mu pod nos kanapkę.

Przywiodła go ciekawość.

Pamiętał, że Gwizdoń nazywał go Klopsem.

Jak wiele bezpańskich psów, tak i ten miał wiele imion i jedne kojarzyły się z ciepłą miską, inne z rzucanymi kamieniami. To taki właśnie celnie rzucony kamień przetrącił mu kiedyś łapę, ale nie pamiętał jak wówczas na niego wołano. „Klops” nie obudził ważniejszych wspomnień.

Kiedy grabarze skończyli grzebać Gwizdonia, Klops ziewnął.

Siknął.

Nie było tu nic interesującego.

Spacer (drabble)

Gęsty dym wypłynął z dysz silników, a po chwili trysnął ogień. Dysze skalibrowały się i ustawiły odpowiednio, a strumień odrzutu zwiększył się. Grunt planetoidy zadrżał.

Moja pierwsza myśl brzmiała: “Niemożliwe!”.

Ale to się działo na moich oczach – odlatywali beze mnie!

Pobiegłem ile sił, ale przyciąganie tu było tak znikome, że po kilku krokach przewróciłem się na pysk, aż zaryłem nosem o wnętrze hełmu.

Poderwałem się jeszcze, choć wiedziałem już, że nie zdążę.

Może nie byłem tak mądry jak moi właściciele, ale szybko zrozumiałem, co się właśnie stało.

Lecieli na wakacje beze mnie.

– Dlaczego?! – zaszczekałem.

Wskaźniki tlenu zapaliły się na czerwono.

Dobrzy, starzy herosi (szort)

Starzeją się nasi superbohaterowie. Bronili nas przed najbardziej przerażającymi przestępcami czy zagrażającymi ludzkości stworzeniami, ochraniali tak długo, że zapomnieli o swoim największym przeciwniku – upływającym czasie.

Zajrzyjmy do nich na moment.

Oto widzimy Supermana ściskającego dłoń Elona Muska. To efekt podpisanej ze SpaceX umowy na wyniesienie poza Ziemię ostatniej partii kryptonitu. Ludzie rozpanoszyli się po całym świecie, docierają wszędzie i wydobywają najtrudniej dostępne meteoryty, a z nich zabójczy dla herosa pierwiastek. Nawet meteoryt z Czelabińska został odnaleziony i przebadany pod tym kątem. Elektryczne ciężarówki Tesla Motors zbiorą cały zapas wydobytych kolorowych kryształów i przywiozą na lądowisko, a tam kryptonit zostanie spakowany i – na plecach rakiety typu Falcon – wysłany prosto w Słońce.

Oto Batman na stole operacyjnym, czekający na implantację mocniejszych, tytanowych kości. Za chwilę zostanie uśpiony, ale zanim zamknie oczy, przeklnie jeszcze kilkanaście razy pod nosem Tony'ego Starka, który odmówił mu odsprzedania na ten cel pewnej ilości vibranium. Trudno skakać z dachów wieżowców, rozmyślając o postępującej osteoporozie, której nawet posiadane miliony dolarów nie są w stanie do końca wyleczyć.

I oto sam Stark w pokoju hotelowym, uśmiechający się swym uśmiechem playboya do poderwanej niedawno dziewczyny. Cycata blondynka nie ma pojęcia, że kryzys wżarł się we wszystkie przedsięwzięcia jej kochanka jak rdza w strój Iron Mana, i że tylko niebieskie pigułki pomagają mu zagłuszyć stres na tyle, by mógł stanąć na wysokości zadania. Że sen z oczu spędza mu próba przejęcia Stark Industries przez Larry'ego Page'a i Sergeya Brina, twardo negocjujących wykupienie jego zaczynającej się na literę „S” firmy tylko po to, by umieścić ją w portfolio Alphabet Inc.

Spuśćmy na to zasłonę milczenia i przenieśmy się na arenę WWE w Atlancie, gdzie trwają właśnie przygotowania do wrestlingowego pojedynku pomiędzy Benem „Thing” Grimmem a Brucem „Hulkiem” Bannerem. Wszystkie bilety wyprzedane, bukmacherzy zacierają ręce.

Na koniec obejrzyjmy poranną toaletę agentki Romanovej ukrywającej swe więdnące wdzięki pod większymi warstwami pudru i lateksu niż skłonna byłaby się przed sobą przyznać. Lata temu utraciła swą oszałamiającą zwinność, a zgasła uroda nie działa już na nikogo, może oprócz schorowanego Spider-Mana.

Ten, na dźwięk słów „Czarna Wdowa”, mamrocze coś bełkotliwie ze swojego hamaka, śmieje

się i popuszcza nitki.

Ostatni więzień (drabble)

Deus-3 jest największą czarną dziurą, jaką zna ludzkość. Położona na granicy Wielkiej Pustki rozciągającej się między Orionem a Erydanem, już dawno wyczyściła okolicę z otaczającej ją materii. Astronomowie, wnioskując po jej rozmiarach i ilości emitowanego promieniowania Hawkinga, twierdzą, że musiała pochłoniąć kiedyś całą supergromadę galaktyk.

Prawdziwa kosmiczna głodomorzyca.

Moja karna kapsuła wchodzi na orbitę jej horyzontu zdarzeń, tuż ponad promieniem Schwarzschilda, a gigantyczne efekty dylatacyjne, będące pochodną jej supergrawitacji i przyświelnej prędkości mojego więzienia sprawiają, że czas rozciąga się niebotycznie. Parę chwil wystarcza, żeby znaleźć się miliardy lat później, osiągając koniec wszechświata.

Zastanawiam się...

Kto tu kogo skazał na dożywocie?

Mister Uniwersum (szort)

Z pomysłem noszono się już od mileniów. Co kilka wieków pojawiały się plotki, które rozpały wyobraźnię, mieszały w głowach i znikwały jak zdmuchnięte. Aż do teraz. Kiedy zapadła decyzja, przez cały Panteon przetoczyła się fala radości, choć – oczywiście – najbardziej ucieszyły się panie.

Oto wreszcie ogłoszono wybory Boskiego Mistra Uniwersum.

Wieści rozeszły się szybko, a pretendentów do tytułu nadciągnęło tylu, że z urządzeniem konkursu nie można było zwlekać – taka ilość testosteronu w jednym miejscu groziła wybuchem.

Po krótkiej, acz spektakularnej walce, boginie wyłoniły spośród siebie pięć najlepszych, które stanęły na czele jury. W łóży zasiadły Ishtar, Kali, Izyda, Freya i Hera (zastępująca Afrodytę, której w ferworze wymiany argumentów ktoś podbił oko).

Jako pierwszy oczywiście stawił się Apollo i zarazem jako pierwszy odpadł. Jurorki zgodnie wyszydziły jego wydepilowane ciało i przesadnie zadbaną fryzurę. Opuścił scenę w towarzystwie złośliwych gwizdów i słów takich jak „metroseksualny” czy „chłoptaś”. Greckim bóstwom w ogóle nie wiodło się dobrze – muskulatura Heraklesa przeraziła Ishtar („zabierzcie to!”) i rozbawiła do łez Izydę („wielki jak szafa, a kluczyk malutki”). Heros próbował ratować sytuację prezentacją muskulatury, ale poległ na zadaniu Kali („proszę, nawlec igłę”). Atlas, słysząc chichoty boginek, od razu zrezygnował. Wielką nadzieję pokładano w Narcyzie, ale on w ogóle nie przyszedł, twierdząc, że zbędna mu jakakolwiek adoracja poza swoją własną.

Gładkie lica młodzieńców zirytowały w końcu komisję.

– Dajcie tu jakiegoś porządnego faceta! – krzyczała Hera

– Tak! Tak! – darła się Freya. – Dajcie tu kogoś z brodą! Drwala! Dajcie drwala!

Po małym zamieszaniu na zapleczu, wypchnięto na scenę syna cieśli, bo zarówno miał gęsty zarost, jak i spekulowano, że siekierę potrafi utrzymać. Nie wywarł jednak spodziewanego wrażenia, wygoniły go pełne szyderstwa głosy („Chłopcze, może lepiej zawołaj ojca?”, „Którego, wariatko?”, „Przecież go opuścił!”).

Potem poszło już z górki.

Nieżyłym kandydatem był Odyn, ale okazało się, że to tylko podszywający się pod niego Loki. Freya, która zdemaskowała kłamstwo, zdyskwalifikowała Asa i odesłała zawstydzonego do Asgardu.

Hefajstos – brodaty siłacz, wzbudzał zainteresowanie dopóki się nie odezwał („Głupi jak kowadło”).

Quetzalcoatl – blada uroda albinosa spodobała się jedynie Kali, która klaskała opętańczo

wszystkimi czterema parami dłoni. Pozostałe panie miały wątpliwości („To wąż czy ptak?” „Czy tam też ma pióra?”).

Wisznui skłócił się ze swoimi dwoma awatarami – Kryszną i Ramą, a Brahma zasnął.

Mars wyszedł, gdy tylko usłyszał „co on taki czerwony?”.

Perun i Zeus spalili się w blokach. Właściwie to w korytarzu i zupełnie niemetaforycznie, a ostatnie słowa, które usłyszeli świadkowie ich kłótni, brzmiały: „Mój piorun jest dłuższy i grubszy”.

Trygława wyśmiano. Trzy razy.

I tak cały dzień i całą noc przewijali się przez scenę bogowie i półbogowie, prężąc ciała i próbując wyrzeć jak najlepsze wrażenie na oceniających ich surowo boginiach.

Prawie nie wybrano Mistera Uniwersum, bo panie nie potrafiły wytypować tego jedyne, prawdziwego mężczyzny. Wydawało się, że takiego super-mena po prostu wśród kandydatów nie ma.

Sytuację uratował jednak Latający Potwór Spaghetti ze swoim czterojajecznym makaronem.

Spirytokulistyka (drabble)

Mało kto wie, że głęboko za soczewką oka znajduje się wklęsłe zwierciadło, w którym odbijają się targające nami emocje i pragnienia. To tedy właśnie przeświecają skrywane kłamstwa, podstępny i tajemniczy, tedy przeziera płonący w nas ogień pożądania, skrzą refleksy miłosnych „zajęczków” czy pobłyskują ostrza pełnych nienawiści spojrzeń.

Z powodu niewielkiej apertury i krótkiej ogniskowej zwierciadła, dostrzec możemy te wszystkie cudowności dopiero, gdy zajrzemy w oczy z bliska, ze wzmożoną uwagą.

Niestety, wyniki ostatnich badań spirytokulistycznych wykazują, że coraz większa ilość diagnozowanych luster cierpi na aberrację emochromatyczną - światło odbite od chorej duszy jest niespolaryzowaną falą, bez długości, amplitudy czy fazy.

Wykres żelazo-serce

Zawiedziona miłość musi najpierw zostać zanurzona na dłużej w gęstej mieszaninie łez i rozpacz. Następnie trzeba ją wyżarzać w ogniu nienawiści o bardzo wysokiej temperaturze, aż w końcu, w procesie odpuszczania, należy studzić ją do chwili, gdy pokryje się twardą skorupą niewrażliwości. Tak zahartowaną, otoczoną doskonałą obojętnością, można odstawić na półkę z rzeczami zapomnianymi, gdzie w ciszy i spokoju zamieni się w zbędne, nikomu niepotrzebne wspomnienie. Przywołać je warto tylko wtedy, kiedy zupełnie pokryje się kurzem.

Uprasza się zachować ostrożność!

Nieumiejętne hartowanie miłości może sprawić, że serce pęknie, dlatego przed rozpoczęciem procesu zaleca się kontakt z najlepszym przyjacielem bądź przyjaciółką.

Tempokleptoman

Często obserwuje nas czujnie, wyczekując na odpowiedni moment, a gdy się rozkojarzymy, złośliwie wykrada czas pomiędzy dwóch zerknięć na cyferblat zegarka. Potem podrzuca go w inne miejsca – na stacje kolejowe lub do biurowców, gdzie droczy się w niewyszukany sposób ze sfrustrowanymi pracownikami. Czai się tam, w pobliżu monitorów, upychając kukułczy czas w komputerowe zegary. Za jednym zamachem potrafi zwinąć nam całe kwadranse, a nawet godziny.

Ha! Psikusy słabeusza.

Jego starszy brat to poważny złodziej, którego nie bawią już drobne kradzieże na minuty. Kradnie lata. O fakcie, że cię obrobił, dowiadujesz się dopiero, kiedy ludzie zaczynają ci ustępować miejsca w autobusie.

Czarna Magnolia (drabble)

Groziła mi dożywotka, ale skazali mnie na tysiąc lat, łaskawcy. W koloni na Iceblood.

Kiedy sędzia ogłaszał wyrok, wygwizdałam go, a wychodząc, zaśpiewałam „Jolly Roger”, pieśń zakazaną w dwudziestu układach. Dostałam kolbą w kark od wiodącego mnie sentinela, mało mi łeb nie odpadł. Zwzywałam go od klonomitów. Zamachnął się, więc zrobiłam unik i skontrowałam ze łba. Nikt nie pierdoli się z Czarną Magnolią! Sentinel wypluł dwa zęby, ale jego kumpel prawie usmażył mnie mikrofalownikiem. Odpuściłam.

Czekałam.

Kiedy autolot transportujący mnie do kosmoportu został ostrzelany, byłam gotowa. Parę wybuchów i w drzwiach stanęły moje kiziory.

– Ruszaj, Czarna! – pokrzykiwali – Spierdalamy!

Byłam wolna.

Tanatos (drabble)

Chmara Hemisferyczna znajdowała się w punkcie libracyjnym L4 gazowego olbrzyma, Tanatosa, utrzymując stałą odległość dwustu milionów kilometrów zarówno od planety jak i od Erebu – słońca układu. Składała się ze stu dwudziestu planetarczy, zwróconych w stronę gwiazdy i chłonących jej energię.

Kiedy kogga Czarnej Magnolii wyskoczyła nagle z quasiprzestrzeni, rozmieszczone na planetarczach detektory fal grawitacyjnych uruchomiły alarmy, a te obudziły stu dwudziestu gubernatorów.

Tylko jeden gubernator nie wrócił spać. Przeciągnął się, przeklął w myślach swoją chciwość i wydobył z szuflady miotacz. Z żalem wepchnął lufę do ust.

Czarna wróciła po depozyt, którego już nie było.

Nie miał jej nic do powiedzenia.

Walka królów (drabble)

Królowie stanęli niedaleko siebie, praktycznie na wyciągnięcie miecza. Na polu bitwy zawrzało, gońcy ruszyli roznosić wiadomości, hetmani zazgrzytali zębami w bezsilnej złości, wieże zadrżały w posadach, a od strony skrzydeł, gdzie stacjonowała ciężka jazda, dobiegły odgłosy rżenia i szczęk broni.

Ruszyli królowie w śmiertelny taniec, okładając się żelazem i próbując przebić się przez gardę przeciwnika. Raz nacierał Biały Król Pretendent, raz Czarny Król Uzurpator. Skakali wokół siebie, bezskutecznie usiłując sięgnąć gardła przeciwnika.

Po kilkudziesięciu minutach walki, nic nie zapowiadało rozstrzygnięcia. Żaden z królów nie osłabł i żaden nie zdobył przewagi.

Zadrżały piony.

Czyżby ta rozgrywka miała się nigdy nie skończyć?

Prawdziwy horror (szort)

Po naszym rozstaniu byłem tak skupiony na tym, aby o niej zapomnieć, że po latach, kiedy w końcu dopadła mnie demencja, a później Alzheimer, stała się jedyną osobą, o której pamiętałem.

Czarny Roman (opowiadanie)

Jestem uwięziony.

Kiedyś żyłem z łamania prawa, pieniądze płynęły szerokim strumieniem, przychodziły, odchodziły i wracały pomnożone. Rolki z forszą. Rulony. Bałem się tylko dwóch rzeczy – aresztowania i utraty tego wszystkiego. A kiedy to nastąpiło, nawet nic nie zauważyłem. Może przez chwilę. Mój szmal zniknął, a ja zostałem zamknięty. Zamknięty we własnej głowie.

Być może szaleństwo skradało się ku mnie wcześniej małymi krokami, wsączało się do umysłu, kiedy słuchałem niekończącego się szelestu banknotów, wpychało się w podświadomość, gdy liczyłem złotówki i dolary. Kotwoczyło się w mózgu jak tasieniec, ale ostrożnie, finezyjnie, bym nic nie spostrzegł. Koledzy cinkciarze pewnie kiedyś mówili, że przeginam, żebym na siebie uważał. Ale kto by słuchał takiego pieprzenia, kiedy leje się zimna wódka i przytulają się chętne dziewczyny?

– Mam pełny piter i złoty sikor – odpowiadałem im bełkotliwie. – Nic więcej nie chcę i niczego nie żałuję. *Ženeregreterje!* – dodawałem „po francusku” ze śmiechem, kiedy głośno protestowali.

A kiedy szaleństwo rozpostarło czarne skrzydła i owinęło mnie szczelnie, było już za późno. Zostałem okradziony, straciłem wszystko i w jednej chwili – pstryk! Nie było mnie.

Był On.

Nawet nie pamiętam, jak się wcześniej nazywałem. Zepchnął mnie w głąb siebie, zamknął, zamurował i ubezwłasnowolnił. Pozostało mi jedynie obserwowanie. On nawet nie zdaje sobie sprawy z mojego istnienia, nie wie, że patrzemy razem, że wspólnie czujemy. On w ogóle mało rozumie z otaczającego nas świata.

Ale teraz to On rządzi.

Za każdym razem kiedy zaczynamy nowy dzień, budząc się w norze, którą on nazywa w myślach swoim domem, rozpaczam nad wszystkim, co utraciłem.

A kiedy staje w łazience przed lustrem i zdarzy mu się spojrzeć na swoje odbicie, chcę zamknąć oczy i krzyczeć.

Ale nie mogę.

Niegdyś golił się gładko, dokładnie, teraz zaprzestał zupełnie tego rytuału, tak jakby coraz bardziej puszczały więzi łączące go z dawnym życiem, moim życiem. Zapuścił paskudną brodę, zaniedbany siwo-czarny wiecheć. Przestał się czesać.

Jeszcze niedawno ubierał nas w czarny garnitur, zakładał skórzane rękawiczki i kapelusz w tym samym kolorze, dodający nam odrobinę szyku. Mijani na ulicach ludzie mogli odnieść wrażenie, że

spotykają osobę starszą, nieco tylko zaniedbaną, ale ciągle starającą się trzymać fason.

Sprawdzało się, dopóki nie zaczął mówić.

Nie zauważyłem, kiedy porzucił ten styl. Czasami, ostatnio coraz częściej, zapadałem w dziwną pustkę, niebyt, tak jakby On spychał mnie w nieistnienie. Nie wiem czy robił to świadomie, chyba jednak nie, byłem dla niego niewiele znaczącym brzęczeniem w głowie. Coraz mniej słyszalnym, ledwo dającym się zauważyć. A może po prostu to ja sam, mający coraz mniej wspólnego z rzeczywistością, rozpływałem się, roztopiałem. Znikałem.

On przestał się ubierać w garnitur. Teraz nosił na głowie coś, co od biedy można było nazwać kapeluszem, bardziej przypominało wojskowy hełm czy czapkę Rumcajsa. Przynajmniej był czarny. Nie wiem, skąd brał ciuchy. W ubiegłym roku, w lecie, chodził ubrany w różowe ogrodniczki. I różowy kapelusz, z szerokim rondem. Kapelusz był jego symbolem.

Czasem, idąc po Warszawie, zatrzymywał się przy przypadkowo napotkanej osobie. Czasem sam był zaczepiany. Wygłaszał wtedy bezsensowne tyrady, puste, ociekające przekleństwami przemówienia, które rozmówcy przyjmowali ze śmiechem, niekiedy z wyraźną obawą.

Nikt nie lubi wariatów.

Różnie go nazywali, ale ja sam nie pamiętam już swojego imienia. Może Jan, może Wiesław. On mawiał o sobie „Nieśmiertelny”.

Czasem zachodziliśmy do kawiarni i siadaliśmy przy stoliku, gapiąc się w witrynę i na ludzi przechodzących za oknem.

Czasem szliśmy na długi spacer.

Kiedyś, w upalny dzień, On ułożył się na wznak na chodniku i grzał w promieniach słońca, nie niepokojony przez nikogo. Nawet patrole straży miejskiej nie zwracały na nas uwagi. Staliśmy się elementem miasta, częścią jego folkloru. Miejską legendą. Patrzyli na nas, wytykali palcami, śmiali się.

Kiedy tak leżał, słuchałem jego myśli. Przypominały kłęb niespójnych obrazów, fragmentów jeszcze mojego życia, które sam ledwo pamiętałem, zmieszanych z wyczytanymi w gazetach wydarzeniami. Wszystko łączyło się w bezkształtną pulpę informacji, zbitą masę słów, które wyłaziły z Niego podczas przypadkowej rozmowy. Czasem wieszczyl śmierć wszystkim przechodniom. Ale niekiedy mówił z sensem, wspominał o zdrowym odżywianiu albo częstował orzechami. Nie wiem, skąd brał to wszystko. Ostatnio zasypiam na zbyt długo.

Tak jak wtedy, na tym rozgrzanym chodniku.

Kiedy się zbudziłem, była wiosna.

On zwykle nie oddalał się od Śródmieścia. Najczęściej trzymał się Marszałkowskiej, Alei Jerozolimskich, często chadzał Nowym Światem na Stare Miasto.

Tym razem z trudem zorientowałem się, gdzie jesteśmy. To na pewno był park. Ale nie Ogród Saski, do którego czasem zaglądaliśmy. Nie tym razem. Dopiero gdy wynurzyliśmy się spomiędzy drzew i gdy ujrzałem pomnik Chopina, zasłuchanego w szum wierzby, zrozumiałem, że byliśmy w Łazienkach Królewskich.

Było pięknie, zielono. Poczułem, jak On bierze głęboki oddech i przez chwilę także ja cieszyłem się tym oddechem. Zbliżał się wieczór.

Tuż obok usłyszałem przeciągły, długi, trąbiący krzyk, który poniósł się w głąb parku. Uklękliśmy.

Przed nami stał paw. Długi, złożony ogon rozciągał się za nim jak tren za panną młodą. Spoglądał w naszą stronę, wyciągając błękitną szyję, czub na głowie drgał przy każdym poruszeniu, a grzbiet połyskiwał szmaragdowo w promieniach zachodzącego słońca.

– Po co mnie tu sprowadziłeś? – dobiegł mnie Jego głos. Mój głos. Mam wrażenie, że zmienił się przez lata, niegdyś nie był tak chropawy i niski, tak nieprzyjemny.

Paw przekręcił głowę, obserwując nas czujnie jednym okiem. Otworzył dziób i znowu wydał z siebie przenikliwy okrzyk, od którego odruchowo wciągnęliśmy głowę w ramiona.

On roześmiał się.

– Jesteśmy nieśmiertelni – powiedział. – Nic nam się nie stanie.

Ptak zrobił dwa kroki i łypnął paciorkowatymi oczami. Otworzył i bezgłośnie zamknął na powrót dziób.

Miałem wrażenie, że rozmawiają. Że porozumiewają się w sposób, który mi umyka. Znowu poczułem Jego myśli i zalał mnie potok obrazów. Zobaczyłem krew i szkło, miecz, dzwon i monokl, zobaczyłem ludzi o pokiereszowanych twarzach i ogień trawiący miasto.

– Niepotrzebna nam magia, by żyć – usłyszałem.

Paw z szumem rozłożył ogon. Był tak blisko, że poczuliśmy delikatny podmuch na twarzy. Kolorowy wachlarz uniósł się do pionu i nastroszył.

Ptak krzyknął znowu.

Opuściliśmy głowę na trawę.

– Skoro ona tak każe – powiedział On.

Paw poruszył się i odwrócił. Odszedł z dumnie podniesioną głową, nie zaszczycając nas nawet spojrzeniem. Na trawie pozostało długie pióro z pięknym granatowym okiem.

Chwyciliśmy je i schowaliśmy do wewnętrznej kieszeni marynarki. Zauważyłem, że dziś ubrał nas znowu na czarno. W prążkowany garnitur.

Potem On odwrócił się i wszystko zgasło.

Ocknąłem się na ławce, na Chmielnej. Było bardzo wcześnie, noc już niemal ustąpiła

porankowi. Obok nas siedział młody, najwyżej trzydziestoletni mężczyzna o ciemnych włosach i zmęczonym spojrzeniu. Na jego czole i policzku zobaczyłem drobne skaleczenia. Miał posiniaczoną twarz, a jedno ucho było wyraźnie napuchnięte.

– Masz. Zjedz ze mną – powiedział On.

Wyciągnął w stronę mężczyzny reklamówkę. We wzroku nieznajomego pojawiła się nieufność.

– To maca – dodał On uspokajająco. – Zdrowa.

Mężczyzna wyjął kawałek placka z reklamówki i wsunął go do ust.

– Czujesz tę noc? – usłyszałem.

Sam już nie wiem, kto wypowiedział te słowa.

Ale na mnie ta noc działa. Coś przepływa przez miasto i rozpełza się po nim, rozplywa po jego tkance i wsącza w każdy zakątek. Coś, co sprawia, że powoli zanikam. Jego głowę znowu zalewają chaotyczne obrazy i mam ochotę odpłynąć, usnąć. Nie mogę już tak dłużej. Nie chcę być tylko widzem, chcę coś zrobić, poruszyć ręką, przecież to moja ręka! Moja, nie jego! Denerwuję się, jednocześnie staję się coraz spokojniejszy. Wydaje mi się, że jeśli zasnę, to już nigdy więcej się nie obudzę, nie spojrzę na świat. Odejdę na zawsze.

Chcę krzyknąć!

Ale On mnie nie słyszy, sięga za pazuchę i wydobywa prawie pióro, które otrzymaliśmy w Łazienkach. Wręcza je nieznajomemu.

– Jego właściciel też jest nieśmiertelny – oznajmia.

Dodaje coś jeszcze, ale znowu gubię się w odmętach Jego wizji. Coś każe mi współczuć temu mężczyźnie, wiem, że spadnie na niego coś, czego się nie spodziewa.

Widzę kobietę o zielonych oczach i chłopaka w okularach.

Widzę piegowatego rudzielca.

Widzę ogień.

Chciałbym znowu zasnąć.

Niedaleko nas zatrzymuje się kilkoro młodych ludzi. Dwóch chłopaków i dziewczyna. Śmieją się i krzyczą coś w naszą stronę.

– Śmiej się, śmiej, aniołeczku – mówi On do dziewczyny. – Śmiej się, bo umrzesz dokładnie za dwa lata, o czternastej.

Może to sprawia Jego chrapliwy głos, być może szalone spojrzenie, ale uśmiech dziewczyny znika, a jej ładną twarz wykrzywia strach. Jakby to sama noc ścisnęła jej gardło szponami przerażenia.

On ogląda się.

Mężczyzny już nie ma.

On mruga i w tej krótkiej chwili wiem, że z nas dwóch tylko On jeszcze zobaczy następny poranek. Między opuszczeniem a podniesieniem naszych powiek czas spowalnia i prawie się zatrzymuje. Nie dla nas. Dla mnie. Nasze oczy otwierają się, ale niczego już nie widzę. Źrenice kurczą się pod wpływem światła z okolicznych witryn, ale to już nie są nasze źrenice, tylko Jego. Tuż przed zaśnięciem czuję ostatni podmuch powietrza na nie swojej brodzie.

Wydaje mi się, że z oddali dobiega krzyk pawia.

Nowy Rok (opowiadanie)

Gdy go spotkaliśmy, był sylwestrowy wieczór. Jechaliśmy na imprezę, oczywiście przebrani, zgodnie z wymogami organizatora. Pewnie dlatego nie zdziwił nas zataczający się przy drodze facet z siwą brodą, ubrany w czerwony, za duży płaszcz ciągnący się po ziemi. Sylwester, rozumiecie? Ale przebranie Mikołaja po świętach? Kiedy każdy ma dosyć grubasa z workiem prezentów? Co za dużo, to niezdrowo, prawda?

A tu nie dość, że facet był idiotycznie przebrany, to bujał się wąskim poboczem, nocą, przy nieoświetlonej drodze i oczywiście bez żadnych odblasków. O mało go nie przejechaliśmy, kiedy zarzuciło go nam pod koła. Odbiłem w lewo, skontrowałem i – ledwie unikając poślizgu – zahamowałem. Spojrzałem na siedzącą obok Marikę i dopiero wtedy dotarło do mnie, że coś krzyczy. Musiałem ją nieźle przestraszyć.

– Zabiłeś go, zabiłeś!

Drżały mi ręce. Włączyłem awaryjne i pokręciłem głową. Marika zawsze miała skłonności do przesady, przecież nawet faceta nie drasnąłem.

– Idź do niego! Sprawdź!

Westchnąłem i wysiadłem z samochodu, omiatając zderzaki ukradkowym spojrzeniem. Spoko. Upadek zawdzięczał tylko temu, że był kompletnie pijany. Ale o tym przekonałem się dopiero kiedy do niego podszedłem.

Siedział z rozłożonymi szeroko nogami i nieudolnie próbował wstać. Pomogłem mu, a kiedy jako tako trzymał się już w pionie, podniosłem z ziemi jego czapkę. Wciągnął ją na głowę i skinął w podziękowaniu. Pociągnął nosem. Wzrok miał rozbiegany, a białe wąsiska mokre od smarków.

– Kręci się w głowie? – zapytałem uprzejmie.

– Skądże znowu! – zaprzeczył bełkotliwie – Nic mi się w głowie nie kręci, to świat się obraca. Pan się obraca.

Nie chciałem się kłócić z pijanym. Złapałem go za kołnierz, kiedy znowu stracił równowagę i próbował klapnąć na tyłek.

Zawył wiatr.

– Dokąd szanowny pan zmierza? – zapytałem najgrzeczniej jak umiałem i przytrzymałem mocniej.

Ledwo uskokczyłem, kiedy rzygnął. Wymiociny rozbрызnęły się na ulicy i chlapnęły mi na buty.

Pociągnąłem grubasa w bok i posadziłem na ziemi.

Machnięciem przywołałem Marikę. Podeszła naburmuszona i niezadowolona z faktu, że

musiała opuścić ciepłe wnętrze samochodu.

– Popilnuj go – poprosiłem, a sam pobiegłem do auta i przez chwilę kopałem w bagażniku, aż wygrzebałem kamizelkę odblaskową. Ledwo ją znalazłem, nie pamiętałem, że wepchnąłem ją pod koło zapasowe.

Wróciłem i zacząłem ubierać w nią grubasa. Marika na ten widok pokiwała głową z aprobatą. Schowała telefon, który ścisnęła w rękę i przykucnęła obok. Pomyślałem z ulgą, że z nas dwojga to ona ma lepiej poukładane w głowie: kazała mi się zatrzymać, sprawdzić czy z facetem wszystko w porządku i zadzwoniła po pomoc.

Gdyby jeszcze nie narzekała tak na moje guzdranie się. Starałem się, jak tylko mogłem.

Kiedy skończyłem wciągać mu na grzbiet kamizelkę, koleś coś wymamrotał. Nachyliłem się ostrożnie, żeby uniknąć ponownego obrzygania.

– Nieważne dokąd ja zmierzam – wyszeptał i splunął. – Ważne dokąd wy zmierzacie.

Odsunąłem się gwałtownie, kiedy znowu coś zagulgotało mu w gardle.

Wstałem, złapałem Marike pod łokieć i zaprowadziłem do samochodu.

– Chodź. Zostawmy go tutaj, zajmą się nim.

Marika potuptała chwiejnie, trzymając się mnie kurczowo. Obcasy grzęzły jej w błocie.

Dopiero dwie godziny później, już na imprezie, spocony i podпиты, zrozumiałem, że tam, na ciemnej drodze, Marika wcale nie wezwała pomocy.

– Dwieście lajków – powiedziała ze śmiechem, podsuwając mi pod nos sześciocalowy wyświetlacz, z którego pijanym wzrokiem spoglądał w obiektyw znajomy grubas.

Dopiero wtedy zastanowiłem się, co miał na myśli, mówiąc „wy”.

Wypiłem podsuniętą mi przez kogoś wódkę i odwróciłem się do Mariki, żeby ją zrugać za głupotę.

– Dziesięć! – krzyknęli nagle wszyscy wokół.

Rozejrzałem się po rozgorączkowanych twarzach moich przyjaciół.

– Dziewięć!

Nadchodził Nowy Rok.

Mohernet (opowiadanie)

Pułkownik Stanisław Kalina czekał.

Krzesło było twarde i niewygodne, a tępy ból w krzyżu i kolanach przypominał o niedawno zdiagnozowanym reumatyzmie. Stojąca na biurku popielniczka sugerowała, że można palić, sięgnął więc do kieszeni po paczkę.

Zdążył wypalić dwa papierosy zanim drzwi do gabinetu otworzyły się i w drzwiach stanął generał Jedlik.

– Jesteś w końcu – warknął Kalina. – Dupa mi zdrętwiała od siedzenia, a nieczęsto się to zdarza.

– Wiadomo, hartowana w najgorszym ogniu. – Po Jedliku nie widać było nawet śladu współczucia. Obszedł biurko i zasiadł w swoim fotelu: dużym, skórzanym i miękkim, jak ocenił pułkownik.

– Mógłbyś chociaż zasalutować. – Jedlik otworzył szufladę i również wyjął papierosy.

– Nie przyszedłem lizać ci butów. Czekam chyba z pół godziny, gdybym wiedział, że się spóźnisz...

– Sprawy służbowe – powiedział generał i zaciągnął się z lubością, po czym wypuścił dym w stronę sufitu. – No co tam, Stasiu? Tylko streszczaj się, czasu nie mam.

– Potrzebuję pożyczyć od ciebie agentkę.

– Uuuuu! – Jedlik wydał usta – No wiesz, da się załatwić. Jakies szczególne wymagania?

– Ma być sprawna. I najlepiej z jedyneką.

Jedlik parsknął rozbawiony.

– Gdzie ty sprawną jedynekę znajdziesz, Stasiu?

– Nie pierdol mi tu, Andrzej, wiem, że takie macie. To ważne, nie zawracałbym ci dupy, jakbym nie miał pewności.

Jedlik westchnął.

– Lata w wywiadzie uczą ostrożności – mruknął, otwierając laptopa. Postukał chwilę w klawiaturę i odwrócił komputer w stronę gościa.

– Mamy obecnie trzy aktywne jedyнки. – Na ekranie ukazały się zdjęcia trzech kobiet w wieku około siedemdziesięciu lat. – To królowe Kier, Karo i Trefl. Królowa Pik przeszła ostatnio na emeryturę, jeśli wiesz, co mam na myśli.

Kalina wiedział. W żargonie agencji „emerytura” oznaczała przedłużający się w nieskończoność pobyt na cmentarzu.

Przypatrzył się kobietom. Wszystkie powoli zbliżały się emerytury. Tej agencyjnej, bo sądząc po

wieku, świadczenia od państwa pobierały już od dobrych dziesięciu lat.

– Stare pudła – powiedział cicho, ale generał i tak dosłyszał.

– Nam też niewiele brakuje – rzucił krótko. – Którą chcesz?

– Bo ja wiem? Ty mi poleć.

Generał wybrał zdjęcie z lewej.

– Królowa Kier, Zenobia Zbych, lat dziewięćdziesiąt, czarny pas w ubiegłorocznych mistrzostwach „Kontra Renta”, gdzie rozniosła w pył siedemnastu lekarzy-orzeczników. Jej znak rozpoznawczy to wydrążona drewniana laska zakończona ostrym bolcem. Niezwykle sprytna, w firmie mawiają, że to nie ona będzie miała problem z demencją, tylko demencja z nią. Niestety od kilku lat zbyt nerwowa, a często wręcz agresywna. Mamy trochę materiałów z akcji, w której brutalnie przegania dziennikarza podczas jakiegoś wiecu. Wszystko utajnione, to ci nie pokażę.

Kalina skrzywił się.

– Eeee, i tak nie chcę takiego zakapiora. Potrzebuję kogoś do wtopienia się w tłum, a nie „krejzolkę”, która będzie świrować na lewo i prawo.

Jedlik pokiwał głową ze zrozumieniem, kliknął w środkowe zdjęcie i wyświetlił inne akta. Zaczął streszczać:

– Królowa Karo, Janina Kowalska, siedemdziesiąt trzy lata. Emerytka i rencistka, pierwsza grupa inwalidzka orzeczona osiem lat temu i niemożliwa do podważenia, choć lekarze na zusowskich komisjach stawali na głowach, żeby się dopieprzyć. Zawsze ma w rękawie potrzebne zaświadczenie, wygrała niejedno odwołanie. Utalentowana symulantka, wyszkolona hipochondryczka, bezwzględna w sytuacjach skrajnych. Chcesz zobaczyć wideo?

– Pewnie. To jakieś nagranie operacyjne?

– Tak, patrz.

Film, nagrywany ukrytą kamerą, ukazywał Kowalską na przystanku tramwajowym. Ubrana była w długą, plisowaną spódnicę w paski i puchową kurtkę spod której wystawał szary, wełniany sweter. W ręku ścisnęła kulę ortopedyczną, na której lekko się opierała. Ciemnozielony beret na głowie trzymał się jak przyklejony, kiedy kobieta rozglądała się na boki. Otaczał ją spory tłum spieszących do pracy ludzi. Tramwaj stojący na przystanku ruszył powoli i ustąpił miejsca drugiemu, właśnie nadjeżdżającemu. Oczekujący zaczęli się przemieszczać nerwowo po przystanku, poszukując najlepszego miejsca, ale agentka Karo zrobiła jedynie niewielki krok w bok i stanęła wyczekująco.

Drzwi zatrzymały się dokładnie przed jej nosem.

– Widziałeś? – wtrącił Jedlik – Za chwilę miały się zmienić światła, nie było do końca pewne czy poprzedni tramwaj zdąży odjechać, czy zostanie, a to mogło kosztować ją bieg do drugiego. Ale

nie. Bestia była w stanie wszystko skalkulować: wymierzyć odległość, obliczyć czas i ustawić się w najlepszej pozycji. Patrz teraz.

Ktoś z przechodzących zasłonił na moment obiektyw kamery, a kiedy znowu było widać co się dzieje, Kalina pokiwał z uznaniem głową. Nikt nie zdążył jeszcze wysiąść z tramwaju, a Kowalska była już w połowie schodów do środka. Jakiś mężczyzna usiłował ją odepchnąć, ale kula – niby przypadkiem – zaplątała mu się między nogi i facet mało nie wypadł na przystanek. Jeszcze dwa kroki i Królowa Karo przepychała się już w środku pojazdu. Kamerzysta przesunął się w prawo, podążając za agentką. Przez szyby widać było, jak staruszka szuka wolnego miejsca. Na chwilę Kalina stracił z oczu zielony beret, ale zaraz odnalazł ponownie – Kowalska pochylała się nad siedzącą młodą kobietą. Agentka powiedziała coś głośno. Nie było dźwięku, ale Kalina zauważył konsternację u otaczających ją ludzi. Głupie uśmiešky, niesmak na twarzach. To charakterystyczne odwracanie głowy w rodzaju „nie mieszam się do tego”.

Młoda kobieta wstała z trudem i skierowała się do wyjścia. Kowalska zajęła jej miejsce wyraźnie zadowolona. Na zbliżeniu Kalina ujrzał, jak usta Królowej Karo poruszają się nerwowo, jakby przeżuwała resztki jadu, którym tak hojnie obdarowała swoją ofiarę.

Kamera podążyła za wychodzącą. Kobieta wyszła z tramwaju, przytrzymując się poręczy. Młoda dziewczyna, ocenił Kalina. Może dwadzieścia pięć lat. Po jej twarzy płynęły łzy, ramiona drgały nerwowo. To nie płacz, to szloch! Kamera zrobiła oddalenie i dopiero teraz spostrzegł, że dziewczyna jest w zaawansowanej ciąży.

– I ona ją tak jednym zdaniem....? – zapytał pułkownik.

– No. Bach! – Jedlik klasnął w dłonie. – Niezła, co? Prawdziwa ninja. Bierzesz?

– Biorę!

– Świetnie! – Jedlik zamknął z trzaskiem pokrywę laptopa. – To jeszcze powiedz, po co ci ona.

Kalina westchnął. Oczywiście, operacja była tajna, ale zdawał sobie sprawę, że tutaj obowiązuje handel wymienny.

– Rozpoczynamy inwigilację Mohernetu – przyznał w końcu niechętnie.

– Czego? – Generał zatarł ręce. – To coś nowego? Mów, mów, posłucham z chęcią.

– Jak wiesz, jakiś czas temu ktoś rozpoczął propagandową operację antyrządową. Nie udało się namierzyć sposobu rozchodzenia się wiadomości i przekazywania poleceń do grup zorganizowanych. A regularnie mamy do czynienia z małymi okupacjami. To grupa staruszków stanie tu, to tam, protestują raz przeciwko temu, raz tamtemu. Dopiero miesiąc temu wpadliśmy na to, że ktoś nimi steruje. Zrobiliśmy symulacje, próbowaliśmy zbadać propagację informacji, kierunek rozchodzenia się zmian, tempo... Ktoś zrobił sieć z... moherów. Ktoś puszcza wiadomość – informacja rozłazi się po całym kraju, bez dostępu do radia, mediów, bez Internetu. Często

przekaz zostaje zniekształcony, a mimo to zachowuje swój rdzeń, jakby oś przekazu. Tempo propagacji bywa różne, czasem minie kilka dni nim ogarnie cały kraj, czasem trwa to dłużej. Nie mogliśmy się z tym połapać. Aż ostatnio jeden z moich ludzi trafił na dziwną korelację. Chodzi o to, że informacja utyka w okolicach weekendu i dystrybucja zostaje podjęta dopiero od poniedziałku. I to był dobry kierunek. Widzisz... okazało się, że ktoś rozpuszcza informację przez staruszków. Najpierw zaszczepiają wiadomość jednej, podatnej osobie. Następnie wymiana informacji odbywa się w miejscach, które nazywamy "węzłami sieci". To oddziały ZUS, urzędy pocztowe, miejsca, w których są kolejki i łatwo o kontakt. Największe węzły to przychodnie i ławki pod gabinetami lekarskimi. Tam przepływ informacji jest największy. Nasi informatycy pracują nad rozszyfrowaniem protokołów komunikacyjnych. Musimy oczyścić sygnał, wyeliminować elementy redundantne i dotrzeć do nadawcy. Potrzebujemy do tego agentki, która wmiesza się w taką sieć, to bardzo ułatwi nam pracę...

– Dobra, przestań już gadać – przerwał mu Jedlik, krzywiąc się. – To jakiś bełkot. Myślałem, że to coś ciekawego, a to te wasze informatyczne bzdury.

– Taka praca – uśmiechnął się kwaśno pułkownik. – To kiedy dostanę tę... Królową Karo?

– Przyślę ją jutro do twojego biura.

Obaj wstali. Kalina wyciągnął rękę.

– Dzięki, Andrzej.

– Jasne. Spadaj, bo za chwilę mam kolejne spotkanie.

* * *

Dwa tygodnie później pułkownik Kalina zwijał się ze słuchawką przy uchu, tłumacząc się telefonicznie Jedlikowi. Minę miał nietęgą.

– Andrzej, przepraszam, nie wiem jak ją zidentyfikowali. Wiem, że jest spalona, ale...

– Spalona?! Spalona, do cholery! – wydzierał się generał – Załatwiliście mi najlepszą agentkę! Ktoś sypnął! Cofnęli jej grupę inwalidzką. Coś na nią znaleźli. I zorientowali się, że emeryturę zaczęła pobierać o cztery lata za wcześniej! Recepty, które chciała zrealizować w aptece – wszystkie nieważne! Podobno jakiś błąd w numerze PESEL! Dostała tyle wezwań do różnych urzędów, że targnęła się na życie. Wiesz jak się targnęła, Stasiu?! Wiesz jak?! Odkręciła gaz! I co? I gównie, bo już jej zdążyli odłączyć! Rozumiesz?! Nawet kulę jej świsnęli w sklepie, na jakiejś przecenie...

– Rozumiem, ale to nie nasza wina. Mohernet jest zorganizowany lepiej niż przypuszczaliśmy!

– Niech cię szlag, Kalina!

Generał rozłączył się, a Kalina zapalił papierosa. Trudno. Jakoś to się wyprostuje. Agenci

czasem są demaskowani i Jedlik na pewno sobie poradzi. Załatwi jej jakiś dom spokojnej starości albo inny przybytek. Należy się za lata służby.

Ale ofiara Królowej Karo opłaciła się. Ustalili najważniejsze. Znaleźli wektor rozchodzenia się informacji.

Wszystkie sygnały miały źródło w Toruniu.

Szarawa (opowiadanie)

– Przykro mi, proszę pana, ale to nie był pożar, tylko wybuch gazu.

Rainhard gapił się na agenta ubezpieczeniowego wzrokiem pełnym niezrozumienia. I urazy. W spoglądaniu urażonym wzrokiem był niekwestionowanym mistrzem. Potrafił nim wywołać wyrzuty sumienia w największych twardzielach.

– Ale... – zaczął i przerwał na moment, żeby dodać: – Ale przecież...

Ubezpieczyciel westchnął. Minę miał zboląłą, ale był to wyćwiczony przez lata grymas, i smutne oczy Rainharda, podszywającego się aktualnie pod Burkowskiego, nie robiły na nim żadnego wrażenia.

Mężczyzna poprawił palcem okulary, używając do tego obu rąk, po czym zebrał w kupkę leżące przed nim dokumenty, uniósł je i postukał o stół, wyrównując brzegi, a następnie odsunął na bok.

– Panie Burkowski, powtórzę to jeszcze raz. Był pan ubezpieczony od pożaru, prawda?

– Byłem – potwierdził Rainhard, kiwając głową.

– Ale cały budynek, w którym mieści... mieściło się pańskie mieszkanie, zawalił się. Czyż nie?

– To prawda.

– Zatem nie było pożaru?

– Technicznie rzecz biorąc, budynek najpierw się zapadł, owszem. Ale w następstwie tego naruszona instalacja gazowa wywołała pożar, więc... moje mieszkanie uległo spaleniu.

– Ale już po tym, jak rozpadło się na kawałki – zaperzył się ubezpieczyciel.

– I tu dochodzimy wreszcie do sedna! – Rainhard uśmiechnął się triumfalnie. – Moje mieszkanie przetrwało upadek bloku.

– Co?

– To był parter. Blok nie zapadł się pionowo w dół, ale przechylił na bok. Moje mieszkanie ocalało i trwało w tym stanie nienaruszone, póki nie strawił go ogień. Co potwierdzają te dokumenty.

Rainhard schylił się do leżącej przy stole reklamówki i wyciągnął folder ze zdjęciami, relacjami naocznych świadków i opiniami biegłych. Położył to wszystko przed ubezpieczycielem, który rzucił się na dokumentację jak głodny szakal.

Zresztą, mężczyzna od pierwszego spotkania przypominał Rainhardowi szakala. Może trochę przez przygarbione plecy, a może przez odrobinę wydłużony nos. A może to przez zawód? Rainhard nie był pewny.

Szakal-ubezpieczyciel przejrzał dokładnie każdy – najmniejszy nawet – karteluszek leżący

przed nim na stole. Niektóre nawet kilkakrotnie.

– W tych okolicznościach będę musiał... – zaczął. – Rozumie pan, że nie mogę podjąć teraz decyzji? Muszę skontaktować się z... hm... przełożonymi.

– Naturalnie. – Rainhard wstał i uspokajająco podniósł rękę, widząc jak mężczyzna nerwowo składa zdjęcia i protokoły z oględzin. – Może pan je zatrzymać. To kopie specjalnie dla pana.

– D... dobrze – wydukał zaskoczony ubezpieczyciel. Zerkał niepewnie to na dokumenty, to na swojego gościa i zastanawiał się, jak to się stało, że umoczył tak prostą sprawę. To znaczy – nic jeszcze nie było pewne, póki szefowie nie zdecydują o wypłacie, być może będą woleli iść do sądu, ale to może się odbić na jego wynikach...

– Do widzenia panu – pożegnał się już z progu Rainhard. – Życzę miłego dnia.

Znalazłszy się za drzwiami, wpakował do ust papierosa i przypalił go jednorazową zapalniczką. Zaciągnął się, wydmuchnął dym, kaszlnął odruchowo i ruszył w stronę przystanku tramwajowego.

Było ciepło i słonecznie, co tutaj zdarzało się niezbyt często. Rainhard często słyszał żart o tym jak to w Szarawie przez dziewięć miesięcy jest ponuro i zimno, a potem to już tylko słońce, słońce, słońce... O ile nie zawodziła go pamięć, słyszał ten dowcip w swoim świecie, i nie o Szarawie, tylko o Rosji, i nie o pogodzie, tylko o porach roku, ale trzymał to dla siebie. Tutaj nie było Rosji, a wszelkie pytania o sąsiadów Rzeczypospolitej grzęzły w niezręcznej ciszy i podejrzliwych spojrzeniach lub wymienianych za plecami Rainharda znakach, z których pukanie w czoło należało do tych względnie łagodnych. Szarawa leżała w państwie, którego nazwy Rainhard jeszcze nie odgadł, ale też przyznawał się przed sobą, że nie poszukiwał jej zbyt namiętnie – po prostu nie było mu to do niczego potrzebne.

Sposób, w jaki znalazł się w Szarawie, był okryty nieprzeniknionym woalem tajemnicy.

Krótką historią wyglądała tak: najpierw był tam, w domu, a potem nagle tu. Koniec.

Dłuższą opisywała w szczegółach imprezę, na której Rainhard spił się jak świnia, przedstawiała drobiazgową listę spożywanych drinków, zaczepianych kobiet i obrażanych mężczyzn, powrót do domu i nazwę ostatniej ulicy, którą udało mu się z jakiegoś powodu zapamiętać, co nie miało żadnego znaczenia. W pobliżu końca opowieść dochodzi do miejsca, w którym Rainhard usypia przytulony do mokrego trawnika i budzi się w Szarawie. I owszem, ciągle na trawniku, za to suchym – może i Szarawa przez większość roku była ponura, ale nie znaczyło to, że ciągle padało. Po prostu było brzydko. Jeśli istniało jakieś miejsce we Wszechświecie, gdzie mieszkali – ze względu na częste braki promieniowania słonecznego – rekordziści niedoboru serotoniny i melatoniny, to na pewno była to Szarawa.

Dłuższa historia niewiele wyjaśniała, stąd Rainhard skrócił ją do niezbędnego minimum, ale też faktem było, że dzielenie się nią z kimkolwiek w Szarawie kończyło się totalnym niezrozumieniem

(pukanie w czoło, dobrotliwe spojrzenia, palec wskazujący kręcący kółka na wysokości skroni). Uznał, że nie warto tracić dobrego imienia przez tę dziwną historię.

Ponieważ w „normalnym” świecie uznawał się za nieudacznika bez przyszłości, stwierdził, że Szarawa przytuliła go po prostu do swojego łona. Nie starał się zbyt mocno dociekać co było tego przyczyną ani skąd tu tak naprawdę się wziął.

Zaakceptował to miasto, tak jak ono zaakceptowało jego.

Rainhard pamiętał dobrze swoje pierwsze przebudzenie.

Był ponury dzień. Nic rewelacyjnego w Szarawie, ale wtedy Rainharda to trochę zaskoczyło i nie bardzo wiadomo dlaczego, bo przecież w jego świecie akurat padało.

Choć średnio to pamiętał.

Gramolił się, uwalany w błocie jeszcze ze starego świata i przyozdobiony w tutejsze już liście i żdzblał trawy, próbując odzyskać utracony w nocy pion. Kiedy w końcu stanął na nogi, usłyszał wrzask – wołanie o pomoc.

Usiłował skierować się w stronę tego krzyku, ale jego ciało, w odróżnieniu od umysłu jeszcze nietrzeźwe, wyciągnęło w przód lewą nogę, zginając prawą w kolanie. Grawitacja, zazwyczaj tak łagodna i opiekuńcza dla wszelkiego rodzaju pijaków, wyczuła najwyraźniej, że poziom alkoholu w Rainhardzie zbliżył się niebezpiecznie do zera i pociągnęła go ku ziemi. Rainhard rozkraczył się w dziwacznej odmianie siadu płotkarskiego, a jego lewa noga znalazła się nagle na chodniku, podcinając przebiegającego tamtędy mężczyznę. Mężczyzna potknął się, i zrobił jeszcze tylko dwa kroki, zanim splątane zupełnie nogi uniemożliwiły mu kontynuowanie biegu. Padł na twarz, kreśląc na chodniku czerwony ślad z rozbitego nosa i tracąc przytomność.

Grawitacja odnotowała, że leżący jest najzupełniej trzeźwy, tak więc mogła śmiało wykonać kolejne nacięcie na czasoprzestrzeni.

(Taka forma trofeum. Grawitacja w Szarawie najbardziej lubiła obserwować małe, ledwo chodzące dzieci, które rodzice puszczali samopas na parkowych chodnikach. Najczęściej okrzyki „No chodź szybciotko do mamusi!” kończyły się szybkim startem malucha i jeszcze szybszym jego upadkiem. Grawitacja również wtedy stawiała nacięcia na czasoprzestrzeni, ale mniejsze, symbolizujące głupotę).

Rainhard zastanawiał się, czy takie dwa małe-białe, co leżały obok głowy faceta, to były zęby, czy może to leżało tu wcześniej.

Zza drzewa wybiegła potargana kobieta i przypadła do leżącego.

Właściwie Rainhard na początku próbował się wykręcić, zaprzeczyć jakoby miał cokolwiek wspólnego z potknięciem się mężczyzny. Pozycja, w której się znajdował, zdradzała jednak tak jednoznacznie co się wydarzyło, że pozostawało tylko podnieść się z godnością i otrząpać. Uczynił

to, dokonując jedynie kosmetycznej zamiany godności na utratę równowagi, a otrzeptanie na rozmazanie błota po spodniach.

Następnie zwrócił się do kobiety, którą w pierwszej chwili omyłkowo wziął za jakąś znajomą leżącego.

Otworzył usta do przeprosin, ale zanim powiedział cokolwiek, od kompromitacji uratowała go sama nieznajoma, rzucając mu się prawie na szyję i dziękując za zwrócenie torebki, która spoczywała na ziemi, obok dwóch małych-białych.

– Ten drań mi ją wyrwał! – wyjaśniła, biorąc kompletnie zbaraniałe spojrzenie Rainharda za coś w rodzaju łagodnego zdziwienia.

Tymczasem drań się nie ruszał, chociaż zauważalnie oddychał. Rainhard sięgnął do kieszeni po telefon, żeby zadzwonić po pomoc, lecz okazało się, że najwyraźniej go zgubił.

Kobieta okazała się wytrzymała. Widząc, jak jej zbawca chodzi ze spojrzeniem wbitym pod nogi, zapytała uprzejmie czego szuka.

– Komórki – odpowiedział Rainhard z roztargnieniem.

Kobieta okazała się wytrzymała dokładnie do tej chwili. Stukanie obcasów na chodniku dało Rainhardowi znak, że powiedział coś głupiego. Nie miał pojęcia, o co chodziło.

Naturalnie o tym, że w Szarawie nie używa się telefonów komórkowych, a króluje stacjonarna telefonia oparta o wybieraki impulsowe, dowiedział się jakiś czas później. Rzuciło to trochę więcej światła na ucieczkę nieznajomej z parku.

Ale wtedy o tym nie wiedział, więc poczuł się dość zaskoczony. Pomyślał, że może kobietę przestraszył złodziej, który wracał do przytomności, więc sprawdził to. Ale złodziej nigdzie nie wracał.

Rainhard wzruszył ramionami.

Później często sięgał myślami do tego wydarzenia i zastanawiał się co go natchnęło. Czy sam fakt pomocy nieznajomej (niezamierzony, co prawda, ale jednak dokonany), czy może był to alkohol, grawitacja, a może samo pojawienie się w Szarawie zmieniło w nim coś, o czym nie przypuszczał, że istnieje.

Wymyślił sobie profesję.

Został awatarem.

Zanim wyszedł z parku, cała koncepcja wykryształizowała się mu w umyśle.

– Ludzie są leniwi i tchórzliwi – mówił do siebie i także trochę o sobie. – Są leniwi i tchórzliwi i potrzebują więcej wolnego czasu.

Są przecież sprawy, których nie mogą załatwić, które są pilne, ale nie mogą się nigdy doczekać realizacji. Czy to złożenie pozwu, wystawienie samochodu na aukcji internetowej, dostarczenie

bielizny do magla, zwiezenie dzieci na wieś do dziadków, czy inne wydarzenia bez precedensu, o których na tym etapie planowania jeszcze nie było nic wiadomo – Rainhard postanowił stać się człowiekiem do zadań specjalnych. Odrobinę prawnikiem, trochę notariuszem, ćwierćślugą, chłopcem na posyłki, załatwiaczem – złotą rączką. Po prostu awatarem. Pod przybraną postacią zleceniodawcy, w jego imieniu, będzie mógł zrealizować najtrudniejsze zlecenia.

Łatwo się domyślić, że Rainhard nie miał jeszcze wtedy pojęcia, że będzie potrafił zmieniać swą powierzchowność jak ludzki kameleon i kopiować wygląd swojego klienta. Nie wiadomo dokładnie (pomijając alkohol, rzecz jasna) co podpowiedziało mu, że to w ogóle będzie możliwe w Szarawie. Najpewniej jednak przechodził w tym miejscu czasoprzestrzeni, w którym akurat Grawitacja stawiała nacięcie i to wywołało swoistą odpowiedź pobudzonego kwantowo mózgu. Czy też po prostu spowodowało spięcie w synapsach.

Trochę później – kiedy poznał nazwę miasta – Rainhard skorygował nazwę swojego zawodu. Postanowił nazwać go Szawatarem. Bardziej mu to pasowało.

Zdarzało się potem dość często, że miewał problemy z wytłumaczeniem tubylcom genezy tej nazwy. Zwykle próby opowieści o pochodzącej z hinduizmu koncepcji inkarnacji, kończyły się stwierdzeniem, że nikt w Szarawie nie słyszał o czymś takim jak Indie Palec Wokół Skroni.

A wyjaśnienie nazwy jako pochodzącej z Internetu graficznej reprezentacji użytkownika kończyły się podobnym fiaskiem – to wtedy Rainhard dowiedział się o impulsowych wybierakach oraz niedoborze serotoniny i melatoniny. I o tym, że mieszkańcy Szarawy cierpieli również na permanentny niedobór Internetu.

A właściwie na zupełny jego brak.

Prawie zapomniał o pozostawionym na pastwę losu, leżącym bez przytomności złodzieju, ale wychodząc z parku, trafił na patrol policji.

Rosły policjant i trochę mniej rosła policjantka spisali jego zeznania. Po właścicielce torebki niestety nie został żaden ślad, ale na szczęście znalazło się kilku świadków rozboju, dzięki którym Rainharda nie oskarżono o ciężkie pobicie (jego przypuszczenia co do dwóch małych-białych okazały się słuszne). Co więcej, policjanci dość łatwo odkryli, że Rainhard jest imigrantem – czy jak to nazywali potocznie: „zrzutem” – zadając kilka kontrolnych pytań w stylu:

- Gdzie pan mieszka?
- Eeee...
- Jaki jest pana zawód?
- Szawatar!
- Ile pan widzi palców?
- Jeden, kręci nim pan w pobliżu głowy, panie władzo.

Policjanci zwolnili go, dając mu jednak wcześniej namiary na Urząd Imigracyjny, w którym przeszedł krótki proces rejestracji w społeczności Szarawy.

Urzędniczka Działu Ewidencji Ludności, która wpisała Rainharda do oficjalnego spisu (grubego rejestru oprawionego w czarną skórę), była niezwykle uprzejma. Zagadywała Rainharda o prywatne życie w przerwach pomiędzy pytaniami czytany z leżącej przed nią listy. Rainhard odpowiadał zarówno na te pierwsze, jak i na drugie, dziwiąc się ich szczegółowości. Właściwie to dopiero podczas tej rozmowy zrozumiał, że stało się coś dziwnego, że nie jest w swoim mieście. Zapewne to alkohol przytępił jego zmysły, inaczej szybciej kojarzyłby fakty. Rozmowa z policjantami, którzy dziwnie na niego zerkali. Albo ten urząd, gdzie młoda i urocza urzędniczka o nazwisku Lena Kraska słysząc niektóre z jego odpowiedzi, spinała się leciutko i uśmiechała ostrożnie. I sam pomysł na pracę – awatar.

Kiedy padło pytanie o pracę, Rainhard wypłynął z siebie to słowo z dumą, choć sam do końca nie był przekonany co do jego nowego znaczenia. Liczył, że urzędniczka zapyta o pochodzenie i miał nawet w głowie przygotowaną odpowiedź – krótką historię o Dalekim Wschodzie i komputerach – ale Lena Kraska nie zapytała, tylko zanotowała coś w swoim rejestrze. I to był kolejny argument za tym, że coś jest nie tak – brak komputerów. A kiedy jeszcze zadzwonił telefon na biurku.... Rainhardowi narzuciło się lepsze słowo – zaterkotał – bo był to dźwięk jaki wydaje przytrzymany dzwonek do roweru: płaskie, mechaniczne stukanie, powielone stukrotnie.

Obserwował jak Lena podnosi do ucha wielką, zieloną słuchawkę i rozmawia przez chwilę. Rainhard nie wsłuchiwał się w jej słowa, zastanawiał się, kiedy miał okazję dotykać telefonu stacjonarnego. Żałował, że zgubił swoją komórkę.

Na koniec urzędniczka podniosła się i uroczyście wręczyła mu ręcznie wypisaną kartkę wielkości legitymacji szkolnej, na której przystawiła kilka stempli i złożyła parę parafek.

Rainhard wstał również i obejrzał dokument.

Było tam napisane, że Lena Kraska, starszy referent w Dziale Ewidencji Ludności Szarawy, działając z upoważnienia Prezydenta Miasta Szarawy, nadaje Pawłowi Rainhardowi obywatelstwo – a jakże – Szarawy.

Rainhard zrozumiał, że jego wizyta w biurze dobiegła końca. Uścisnął ostrożnie wyciągniętą rękę Leny, puścił ją, oklapł i opadł z powrotem na krzesło.

– Jak to się stało? – zapytał.

Starszy referent Kraska westchnęła i dotknęła lekko jego dłoni.

– Różnie to bywa. Na pewno słyszał pan o ludziach, którzy znikają w pana mieście, prawda? Część się odnajduje, część nie, bo trafia do nas. Tak jak pan.

Spojrzała na niego.

Ale jak to możliwe? – pytały jego oczy.

– Nie wiem, jak to możliwe – odpowiedziała. – Zdaje się, że nasze światy nie leżą daleko od siebie...

Rainhard wyłączył się na chwilę, zapatrzonego w zieleń oczu Leny Kraski. Dzięki temu ominął go wykład o przypuszczalnym położeniu obu światów w multiwersum, ciągle tworzących się wszechświatach niemowlęcych i pęknięciu w p-branach oddzielających od siebie wszechświaty Rainharda i Szarawy.

Gapił się z uśmiechem na jej mały nosek i ciemne włosy, słuchał barwy jej głosu, puszczać mimo uszu rozważania dotyczące strzałek czasu, entropii i śmierci cieplnej. Na marginesie świadomości zanotował jedynie, że dziewczyna ma lepsze wykształcenie niż to niezbędne na jej stanowisku pracy.

Potem, kiedy Lena opowiadała o energiach potrzebnych na skuteczne przebicie p-bran i o zwiniętych wymiarach, Rainhard myślał o tym, że podczas wpisywania do rejestru jego danych kobieta zadała zdecydowanie za dużo osobistych pytań.

Zrozumiał dlaczego.

Wyjaśnienia Leny dotyczące jego pojawienia się w Szarawie skrócił i wytłumaczył po swojemu – najpewniej wracając do domu, potknął się i wpadł w jakąś szczelinę czy też dziurę, przez którą przeleciał jak Alicja goniąca Białego Królika. Oczywiście Alicja nie była tak bezwładna i pijana jak Rainhard, a w pobliżu nie było żadnego zwierzęcia, ale podobieństwo sytuacji nadal było uderzające. No i nigdzie nie widział ciastek czy flaszek z napisem „zjedz mnie”, „wypij mnie”. Nic z tych rzeczy.

Ale teraz zrozumiał coś jeszcze. Zrozumiał ciekawość Leny.

Poderwij mnie – przeczytał w jej oczach.

– Umówisz się ze mną? – wypalił, przerywając jej wykład z kosmologii.

Starszy referent rozpromieniła się.

Ich związek nie potrwał długo. Może trochę dlatego, że Lena była za dobrze wykształcona i Rainhard nie rozumiał często trzech czwartych z tego, co opowiadała o otaczającym ich świecie. Ekscytowały ją odkrycia naukowe, począwszy od biologii i genetyki, aż po najnowsze zdjęcia z głębokiego kosmosu, a Rainhard był za bardzo skupiony na najbliższej okolicy.

A może chodziło o to, że bardziej interesowała ją fizyka niż fizyczność, co wychodziło nocą w łóżku, kiedy Lena nie mogła lub nie chciała drugi raz, i pomimo próśb, zaklęć i błagań Rainharda obracała się na drugi bok, zasypiając z błogim uśmiechem.

Była jednak znakomitą przewodniczką po Szarawie i Rainhard zawdzięczał jej wszystko – od mieszkania, po zorganizowanie pracy.

Rozstali się już po miesiącu, ale w zgodzie i jako przyjaciele, bo choć polubili się, to ten związek nie był tym, czego oboje oczekiwali.

Niemniej Lena nauczyła go bardzo dużo, łącznie z tym, że Szarawa jest magiczna. Naturalnie to tylko Rainhard dostrzegał magię tam, gdzie była to zwykła różnica w międzywszechświatowej fizyce. Ot, pewne kosmiczne i matematyczne wartości uniwersalne miały inną wartość, na przykład stała grawitacji była odrobinę większa, a liczba pi – minimalnie mniejsza (choć ciągle niewymierna, a różnica była tak niewielka, że i w Szarawie wartość 3,14 wciąż była wystarczającym przybliżeniem dla większości mieszkańców, którzy w ciągu dnia potrzebowali wyliczyć obwód bądź pole koła).

Były to jednak drobiazgi, które umykały Rainhardowi i nie przywiązywał do nich większej uwagi. Dla niego było magiczne to, że woda czasem płynęła tu pod górę (co Lena tłumaczyła zakłóceniami laminarnymi w przepływie turbulentnym cieczy) albo że ludzie pojawiali się niekiedy znienacka jakby umieli się teleportować (co tłumaczyła faktycznie teleportacją, ale zupełnie odmienną od wyobrażeń Rainharda, czyli mówiła znowu coś o splątaniach kwantowych atomów, o fermionach, barionach i wymionach, choć co do tego ostatniego Rainhard nie był pewien, czy się nie przesłyszał).

No i do tego dochodziły pewne różnice kulturowe i obyczajowe.

Kiedy jeszcze byli razem, trzy dni po rozpoczęciu znajomości, Lena zaprowadziła Rainharda na Rynek Pracy. Nie był to czysto wirtualny byt, jak w jego świecie. W Szarawie Rynek Pracy istniał namacalnie. Był to obszerny plac na południu miasta, otoczony przez wysokie kamienice, w oknach których często stali potencjalni przyszli pracodawcy.

Na samym placu ustawiali się ludzie poszukujący pracy, wyposażeni w tabliczki lub transparenty – istniała tu pełna dowolność – zachwalające kandydata i wymieniające jego zalety i umiejętności.

Już pierwszego dnia, właściwie po pierwszej godzinie spacerowania pomiędzy innymi poszukującymi pracy, Rainhard stwierdził, że ma doskonały pomysł, aby zrewolucjonizować Rynek Pracy Szarawy. A właściwie nie zrewolucjonizować, ale na nim zarobić. Po pierwsze – pracodawcy. Wynajmujący mieszkania na godziny w okalających Rynek kamienicach, wystawiający głowy z okien i czytający transparenty. Rainhard wymyślił sobie, że otworzy wypożyczalnię lornetek. Aż takie proste! Dlaczego nikt nie wpadł na to wcześniej? Bo ogłoszenia pracowników pisane były olbrzymimi literami, dobrze widocznymi z daleka.

Ale gdyby tak otworzyć sklep z nadrukami na koszulkach, gdzie za drobną opłatą mógłbym wypisać cokolwiek tylko kandydat by potrzebował? – myślał Rainhard. I tak z jednej strony koszulki, z drugiej lornetki. Rainhard zacierał dłonie.

A gdyby udało się jeszcze wejść w porozumienie z Urzędem Pracy Szarawy, aby sponsorowali te nadruki na koszulkach w ramach jakiegoś programu pomocy bezrobotnym... Rainhard wiedział, że najlepsze kontrakty zawiera się właśnie ze służbą publiczną, To była żyła złota.

Pewnie i zajęłoby się tym tematem, ale coś innego zaprzętnęło mu głowę.

A właściwie ktoś.

Był to jeden z bezrobotnych szukających pracy, niski mężczyzna, ale dobrze zbudowany, na ile Rainhard mógł ocenić, bo większość jego ciała skrywały dwie tablice powieszone z przodu i na plecach. Napisy głosiły, że człowiek noszący ogłoszenie jest utalentowanym hydraulikiem z wieloletnim doświadczeniem. Nieco niżej wymienione było kilka nazw, które Rainhard zakwalifikował jako poprzednie miejsca zatrudnienia, choć nic mu nie mówiły.

Mężczyzna poruszał się nietypowo, bardzo dziwnym, tanecznym nieco krokiem, przepychając się w tłumie i rozpychając pomiędzy innymi bezrobotnymi. Dwa kroki do przodu, potem w bok, obrót, coś w rodzaju przykucnięcia. Rainhard z fascynacją obserwował kolejną różnicę kulturową – oto mężczyzna usiłował ściągnąć na siebie uwagę pracodawcy tym nietypowym tańcem – nie godowym, a... szukał przez chwilę odpowiednich słów, aby określić ten rodzaj tańca. „Zawodowy” i „profesjonalny” nie przypasowały mu, ale już „roboczy” było bliżej...

Oto człowiek... wykonujący Taniec Pracy – pomyślał Rainhard.

– Czego się pan tak gapisz? – wkurzył się hydraulik, poirytowany zainteresowaniem jakie budził w nieznanym. – Szczać mi się chce, do ciężkiej cholery!

– Przepraszam bardzo – skrzywił się Rainhard, którego teoria właśnie rozsypała się proch. Wymemlał jeszcze dodatkowo coś, co miało uspokoić niedoszlęgo tancerza.

– Co? – zapytał tamten, nadal przestępując z nogi na nogę.

– Wydawało mi się, że hydraulik nie powinien mieć problemu ze znalezieniem pracy.

– Oj, źle się panu wydawało.

– Dlaczego?

Mężczyzna dał znowu dwa kroki do przodu, Rainhard powędrował za nim.

– Przez rury. Przez spisek producentów rur i złączek!

– Spisek?

– Tak. Proszę sobie wyobrazić, że w Szarawie zastosowano wyjątkowo trwałe materiały do produkcji kanalizacji. A przy okazji używa się rur o dużym przekroju. Tym samym zapychają się bardzo rzadko, a pękają jeszcze rzadziej. Dodatkowo, proszę sobie wyobrazić, przyłącza armaturowe w ścianach zostały zaprojektowane w ten sposób, aby nawet dziecko mogło sobie poradzić z podłączeniem baterii. Rozumie pan?!

– Rozumiem. Dlaczego zatem wybrał pan ten zawód?

– Jestem ofiarą systemu edukacji – wyjaśnił z rezygnacją hydraulik. – Szkoła zawodowa, a nawet studia, a potem okazuje się, że ten rynek jest płytki jak kałuża latem. A hydraulika to jedyna rzecz, którą robię naprawdę świetnie. Zaraz się zjulam – zakończył z mocą.

– Dlaczego pan nie pójdzie się załatwić? – zapytał zdziwiony.

– Widzi pan tam? – Hydraulik skinął głową w stronę jednej z kamienic. – Na drugim piętrze, trzecie okno od lewej. Stoi tam pracodawca. Zwrócił na mnie uwagę już kilka razy, ale ciągle jeszcze szuka i się rozgląda. Nie mogę przepuścić okazji.

Do Rainharda powróciła wizja, której doznał kilka dni wcześniej w parku.

Przypomniał sobie, co chciał robić i postanowił spróbować. Miał przecież zostać awatarem!

Szawatarem – poprawił się w myślach, uśmiechając się.

(To był ten moment, kiedy wymyślił nazwę).

– Pomogę panu – zaproponował hydraulikowi. – Niech mi pan da te tablice, postoję tu za pana, a pan niech leci ulżyć pęcherzowi.

– Serio? – Na twarz hydraulika wypełzła radość, ale szybko starł ją grymas bólu.

– Serio.

Rainhard pomógł mężczyźnie zdjąć tablice i zawiesił je sobie na ramionach. Kiedy podniósł głowę, dostrzegł jedynie plecy biegnącego hydraulika.

– Nazywam się Henryk Flos! – zdążył krzyknąć, zanim zniknął w tłumie.

A Rainhard zaczął się kurczyć. Jego jasne włosy pociemniały, usta jakby napuchły, nos skluchowaciał, za to mięśnie wyraźnie nabrały kształtu i – co Rainhard odnotował z pewnym niezadowoleniem – w majtkach mu jakby czegoś przybyło. Ubranie, które dotychczas miał na sobie, czyli niebieskie dżinsy i wypuszczona na wierzch czarna koszula, również dokonało transformacji, zamieniając się w należące do Flosa czarne dżinsy (niewielka zmiana) i granatową koszulkę bez żadnych nadruków.

Ponadto Rainhard, dość dobrze znający się na męskiej anatomii (żył kiedyś ze studentką medycyny) i wyczulony na takie rzeczy – zauważył, że prostata zrobiła się cokolwiek za duża.

Zająłby się swoją hydrauliką – pomyślał rozsądnie Rainhard, zanim ukłucie w podbrzuszu nie sprawiło, że dał krok do przodu i pochylił się.

Zachciało mu się siku jak nigdy jeszcze żadnemu człowiekowi w Szarawie.

– Floooooos! – ryknął, przyciągając uwagę pracodawców w oknach. – Pospiesz się!

Powinien był zastanowić się, co spowodowało przemianę w hydraulika. Czy wystarczyło wcześniejsze pragnienie, sama deklaracja przemiany w Szawatara, którą złożył wcześniej? Powinien był pomyśleć, czy zrobił coś jeszcze, oprócz pożyczenia rzeczy należących do Flosa, coś co stało się katalizatorem przemiany, ale nie jej przyczyną.

Powinien był, ale nie miał czasu na rozmyślania – tańczył akurat „Taniec Pracy”.

I tak zastał go Henryk Flos, który powrócił kilkanaście minut później.

Zdziwił się oczywiście na widok swojego sobowtóra. Co więcej jego zdziwienie, biorące się z niewiedzy, szybko przerodziło się w niezrozumienie, a ono – naturalną już, ludzką drogą – w strach. Zacisnął pięści i gotów był obić porządnie Rainharda, ale ten odruchowo sam zacisnął pięści i Flos na widok swoich własnych naprężonych mięśni nieco stracił rezon.

Szawatar zdjął tablice i oddał je oryginalnemu hydraulikowi. Ten przyjął je bez słowa, łypał jednak spod oka, kiedy Rainhard powracał do swojej normalnej postaci. Rozejrzeli się obaj.

Mimo że na Rynku znajdowały się setki osób, ta dziwna zamiana przeszła bez echa. Mężczyźni i kobiety, rozmawiający ze sobą, poklepujący się po plecach, pocieszający i dodający sobie otuchy, najczęściej wlepiali dyskretnie (a czasem nie) wzrok w okna z nadzieją, że otrzymają wymarzoną (albo i nie) pracę.

– Co to było? – zapytał Flos.

– Jestem Szawatarem – powiedział dumnie Rainhard.

– Czy to jest uleczone? – zaniepokoił się hydraulik. – Znam świetnego doktora.

– Nie, nie! – Rainhard zamachał nerwowo rękami. – Taki sobie wymyśliłem zawód. Pomagać ludziom, przyjmując ich fizyczną formę.

– Czy to znaczy, że będziesz żądał ode mnie zapłaty? – zaniepokoił się Flos. – Ja naprawdę jestem bezrobotny.

Szawatar zmachał rękami ponownie.

– Absolutnie nie. Dopiero dzięki tobie dowiedziałem się, że to w ogóle możliwe. Teraz zastanawiam się, w jaki sposób mogę na tym zarobić. Od ciebie nic nie wezmę, daj spokój.

Na twarzy Flosa odmalowała się widoczna ulga. I odrobina zamyślenia.

– Będziesz pomagał ludziom się wysikać? – zapytał ostrożnie.

– Również – westchnął Rainhard. – Obawiam się, że twój potencjalny pracodawca, no wiesz, ten z trzeciego okna od lewej... Wybrał kogoś innego.

Henryk Flos zapadł się w siebie, ale po chwili jakby odzyskał siły witalne, wyprężył się na powrót.

– Nic to! – powiedział z godnością. – Nie dziś, to jutro. Nie jutro, to za tydzień.

Rainhard obserwował hydraulika i myślał. Usiłował powrócić do chwili, kiedy przybrał postać Flosa, do momentu, gdy wpadł na pewien pomysł.

– Wiem! – zakrzyknął, aż Flos zrobił krok do tyłu.

Pociągnął hydraulika za rękę, w stronę wyjścia.

– Co robisz? – warknął pociągnięty.

Rainhard zatrzymał się.

– Przecież to głupie, żeby Szawatar pomógł tylko w wysikaniu się, prawda? Mam coś lepszego, coś co ci pomoże, a co przyszło mi do głowy, gdy znalazłem się na twoim miejscu.

– Tak?

Rainhard rozejrzał się dyskretnie i nachylił się do Flosa.

– Jesteś hydraulikiem, prawda? Widziałem, gdzie pobiegłeś, kiedy cię przyparło. Wybiegłeś z rynku. Pobiegłeś w krzaki, tak? – i nie czekając, aż Flos pokiwa głową, ciągnął – Wiesz co zrobić? Wybuduj tu, na Rynku, szalet. Niech to na początek będzie przenośny ustęp, ale dogadaj się z Ratuszem, zainwestuj i wybuduj tu wielki, wielokabinowy kibel. Skanalizuj go. Doglądaj. Ustawisz się na jakiś czas.

Flos stał jak wryty. Otwierał i zamykał usta.

– Genialne – szepnął, próbując jednocześnie w myślach oszacować swoją zdolność kredytową – Jesteś geniuszem, Szawatarze!

– Wiem! – ucieszył się Rainhard trochę na wyrost, bo przecież wcześniej tego nie wiedział.

Flos chwycił go w objęcia.

– Co więcej – hydraulik zapalał się coraz bardziej do pomysłu – postawię takie szalety w całym mieście i będę pobierał niewielkie opłaty za korzystanie z nich!

Rainhard nie wiedział, że Szarawa jest tak uboga w publiczne toalety.

(Dopiero później dowiedział się, że były tak często spotykane jak Internet)

– Jak się nazywasz, Szawatarze?

– Rainhard.

– Co to właściwie znaczy?

– Nic, to nazwisko. Można próbować to rozbić na dwa słowa jak „rain” i „hard”, czyli coś w stylu „deszcz” i „ciężki”, więc można śmiało założyć, że chodzi o jakieś oberwanie chmury...

– Nie! – przerwał mu hydraulik. – Szawatar! Co to znaczy?

– A! – zmytygował się Rainhard – Wiesz coś o komputerach, hinduizmie albo Dalekim Wschodzie?

– Nie.

– W takim razie to... – Rainhard szukał właściwego słowa. – To taki podwójny neologizm – wybrnął w końcu, mając na myśli fakt, że do oryginalnego słowa dosztukował „Szarawę”.

Ale Flos był już myślami gdzie indziej.

– Słuchaj Rainhard. Szawatarze. Pomogłeś mi. Podsunąłeś pomysł. To czasem najcenniejsza rzecz, jaką jeden człowiek może podarować drugiemu...

Rainhard nie był akurat tego pewien, ale pokiwał jedynie głową w milczeniu, nie chcąc

przerywać słowotoku Flosa.

– Jeśli mi się uda... Nie, co ja mówię, musi się udać! A zatem kiedy mi się uda, będziesz mógł korzystać bezpłatnie z moich szaletów na terenie całej Szarawy. Co ty na to?

– Doskonale! – odrzekł zapytany. Właściwie nie spodziewał się przecież żadnego wynagrodzenia, a bezpłatny szalet w skrajnej sytuacji mógł uratować niejedne spodnie.

Flos położył ręce na ramionach Rainharda.

– Dziękuję ci! – powiedział.

Rainhard poczuł się trochę niezręcznie. Mimo wszystko lepiej już było wrócić do domu. Pierwsze spotkanie z Rynkiem Pracy miał za sobą. Potrzebował teraz przygotować sobie tablice z napisami na następny dzień. No i musiał spisać zakres odpowiedzialności swojej nowej profesji.

Zaczął się wycofywać rakiem.

Flos oczywiście nie chciał go puścić, ale w końcu dał mu spokój. Zapisał swój adres i numer telefonu na kartce, wcisnął ją w dłoń Rainharda, odprowadził do wyjścia z rynku i tam pożegnał serdecznie.

Hydraulik obserwował z rozrzewnieniem jak jego zbawiciel odchodzi długą alejką i znika za zakrętem.

W domu Henryk Flos opowiedział wszystko swojej żonie Joannie. Wszystkie sprawy biznesowe pojęła w mig, bo miała do tego najwyraźniej talent. Dręczyło ją jedno.

– Co to właściwie znaczy „Szawatar”? – zapytała w końcu, późno w nocy, kiedy leżeli już w łóżku.

– To taki podwójny geologizm, kochanie. Chyba chodzi o coś, co zostało podwójnie wykopane z ziemi. Nie przejmuj się tym.

Rainhard natomiast słusznie uznał, że na zastępowaniu bezrobotnych na Rynku Pracy nic nie zarobi, wobec czego skupił się na pracodawcach. Z pomocą Leny zbudował swoją pierwszą tablicę na szyję, na której wysmarował nazwę swojej profesji oraz coś w rodzaju transparentu, umieszczonego na pojedynczym kiju, który mógł unosić wysoko nad głowę.

Na obu napisane było:

....: SZAWATAR :....

....: NIE MASZ NA NIC CZASU? :....

....: POZWÓL SIĘ ZASTĄPIĆ PROFESJONALIŚCIE! :....

Ozdobniki, umieszczone wokół każdego zdania, pożyczył od znajomego programisty, jeszcze ze starego świata, który nadużywał ich, ozdabiając tak nagłówki w tekstach swoich programów. Rainhard uznał, że wyglądają profesjonalnie, jak na warunki Szarawy. Nie mieli tu programistów,

zatem wzorek był nowatorski.

Nie zjawił się Rynku nazajutrz, ale dopiero dwa dni później, ponieważ pod napisem umieścił dodatkowo numer telefonu, a chciał żeby farba na transparentach dobrze wyschła.

Lecz kiedy się w końcu zjawił, wzbudził oczywiście sensację – zarówno wśród poszukujących pracy, jak i wśród pracodawców, którzy byli dość zaskoczeni. Zdarzało się nawet, że pokazywali go sobie palcami.

Pierwszego dnia nie miał żadnych zapytań czy zleceń, ale nie zniechęcał się. To samo drugiego dnia i trzeciego, aż w końcu trzy tygodnie później uznał, że pomysł chyba nie był zbyt chwytny. Wtedy zadzwonił telefon, a serce Rainharda zatrzepotało w uniesieniu. Okazało się, że to jednak nikt z Rynku, a ktoś z polecenia od Henryka Flosa, który nie próżnował, a wychwalał pod niebiosa umiejętności Rainharda wśród swoich przyjaciół. Też dobrze. Oczywiście Flos wszystko ubarwiał i przeinaczał, ale mimo wszystko zdołał narobić wśród znajomych tyle szumu, że jeden z nich postanowił w końcu się skontaktować.

Rainhard odebrał telefon po drugim dzwonku.

– Słucham? – zapytał grzecznie.

– Czy to pan Szawatar?

– Technicznie rzecz ujmując, nazywam się Rainhard...

– Czyli nie Szawatar?

– Szawatar – potwierdził szybko Rainhard. – Słucham.

Szybko zrozumiał, że w Szarawie lepiej za dużo nie mówić. O dziwo, nigdy nie nauczył się tej sztuczki w swoim świecie.

– Mówi Tomasz Burkowski. Mam sprawę.

Burkowski zlecił mu uzyskanie od firmy ubezpieczeniowej wypłaty należnego mu odszkodowania. Dom się zawalił czy coś.

Rainhard pewnie by nie wziął tej roboty, jakoś nie pod drodze było mu z zastępowaniem ludzi w czymś tak trywialnym (od samego początku nastawiał się na wielkie rzeczy, a życie, jak to życie, naprędce to nastawienie zweryfikowało), ale kiedyś chodził z dziewczyną, która pracowała jako ubezpieczycielka i był święcie przekonany, że zna sposób myślenia całej tej sitwy naciągaczy. Poza tym, dziewczyna z nim zerwała, pozostawiając w ego Rainharda sporej wielkości wyrwę, bo nie dość, że puściła go kantem, to przeprowadziła się od razu do innego faceta i jeszcze tego samego dnia przysłała go do domu Rainharda po walizkę z rzeczami. Rainhard nigdy nie wybaczył jej i wszystkim ubezpieczycielom (jej nowy kochaś również parał się tą profesją) i przełożyło się to trochę na podjęcie trudnej decyzji w temacie „brać czy nie brać robotę Burkowskiego”.

Rainhard nie wiedział do końca, co nowy zleceniodawca sobie wyobrażał na temat zawodu

Szawatara. Facet po prostu zadzwonił, poinformował, że budynek w którym znajdowało się jego mieszkanie właśnie się zawalił i zapytał, czy Szawatar weźmie się za załatwienie sprawy z ubezpieczycielem. Rainhard nie wiedział, co Burkowskiemu naopowiadał Flos (w rozmowie często powoływał się na hydraulika), może brał go za jakiegoś magika, jednak od słowa do słowa, klient w końcu powiedział czego oczekuje, a w trakcie rozmowy zdołał nawet przeczytać na głos treść polisy oraz zapewnił o sowitym wynagrodzeniu.

Rainhard zdecydował się.

Spotkali się na chwilę, aby Szawatar mógł wziąć rzecz należącą do zleceniodawcy. Potem zebrał kilka niezbędnych materiałów, w tym szmatkę i butelkę spirytusu, a następnie, już pod postacią Burkowskiego, udał się pod wskazany adres.

Na miejscu znajdowała się policja i jednostka straży pożarnej oraz dwie karetki, o dziwo puste. Okazało się, że w budynku w momencie wybuchu nikogo nie było. Godzina była młoda, a wszyscy lokatorzy znajdowali się akurat w pracy, oprócz pewnej starowinki, którą wszyscy nazywali „pani Jałowcowa”. Kobieta wyszła z psem na długi spacer. To ona zostawiła odkręcony gaz. Przypadkiem, naturalnie. Jałowcowa nigdy nie przejawiała skłonności autodestrukcyjnych.

Nie zmieniało to faktu, że sąsiedzi, którzy właśnie stracili mieszkania i wracali pod resztki swojego bloku, składali pod adresem staruszki życzenia długiego i pomyślnego współżycia z jej pupilem. I na odwrót.

Po wybuchu budynek osunął się na bok i przewrócił, pozostawiając nienaruszone jedynie dwa mieszkania na wysokim parterze, w tym jedno należące do Burkowskiego.

Korzystając z zamieszania, Rainhard zwinął kask jednego ze strażaków i wsunął go sobie na głowę. Jako strażak (czyli, jak to sobie nazwał – „szawatarując”) mógł podejść swobodnie do mieszkania Burkowskiego, następnie dyskretnie nasączył szmatkę spirytusem, wsunął w butelkę, podpalił i wrzucił do mieszkania przez rozbite okno.

Potem zwrócił kask i poczekał, aż wszystko się dokładnie rozpali.

Na koniec jako Burkowski wyciągnął pożyczony aparat fotograficzny i rozpoczął dokumentowanie pożaru. Spisywał nazwiska stojących obok ludzi przyglądających się, jak mieszkanie ogarniają płomienie, oraz notował numery służbowe znajdujących się na miejscu policjantów i strażaków.

Na drugi dzień zebrał od kogo się tylko dało zeznania, wywołał zdjęcia u fotografa (w Szarawie było sporo miejsc, gdzie można było kupić błony fotograficzne do archaicznych, z punktu widzenia Rainharda, aparatów), wykonał kopie dokumentów (usługi ksero na szczęście już raczkowały) i udał się do ubezpieczyciela celem wyłudzenia odszkodowania.

Dokonawszy tego, wrócił do domu.

O swoim pierwszym zleceniu opowiedział Lenie trochę później, już po miłosnych zapasach, których do których doszło na podłodze pokoju, i po tym jak przenieśli się do łóżka, żeby odpocząć.

Lena wysłuchiwała go ze skupieniem, ale radość Rainharda przygasła nieco, kiedy zarzuciła mu nieuczciwość. Trochę się pokłócili.

Męczyło go za to jeszcze jedna sprawa. Coś czego nie pojmował, a na co Lena mogła rzucić trochę światła. W końcu zapytał:

– Czy mogłabyś tak racjonalnie i bez odnoszenia się do magii, wyjaśnić w jaki sposób zmieniam swoją postać? Czyli szawataruję – dodał dumny z nowego neologizmu.

Lena odpowiedziała mu, używając wyrażeń takich jak „transformacja” czy „selektywna mutacja” i doprawiając wszystko „transgresją” i „migracją”.

Oczywiście Rainhard zgubił się bardzo szybko i po drugim zdaniu wyjaśnienia słuchał już tylko uspokajającego tonu głosu Leny, kiwając energicznie głową kiedy dziewczyna wyraźnie tego od niego oczekiwała.

W pewnym momencie ocknął się z zasłuchania i stwierdził, że może by tak drugi raz...

Wyciągnął rękę, ale Lena już spała.

Rainhard przewrócił się na wznak i włożył ręce pod głowę.

Szarawa – pomyślał. Może nie będzie tu tak źle?

Halloween (drabble)

Najpierw wyciął oczy.

Oczywiście dopiero po tym, jak ją wydrążył. Wiadomo, dynię trzeba najpierw wydrążyć, a w tym celu odciąć „wieczko”, zdjąć jej skalp.

Więc tak... najpierw wyciął oczy: dwa wielkie otwory, może trochę zbyt skośne, ale dzięki temu wyglądały złowrogo i odrobinę złośliwie. Potem zabrał się za usta – wychlastał dziurę szeroko, tak aby zostawić miejsce na szerokie i nierówne zęby. Naturalnie co drugiego brakowało, ale tak właśnie miało być.

Uderzył dynię pięścią. Raz, drugi... Bił dotąd, aż zamieniła się w jednolitą paćkę.

Kiedy skończył, odwrócił się do związanej żony, chwycił za kark i przyciągnął do stołu.

Najpierw wyciął oczy.

Szpital (drabble)

Na sali leży nas trzech. Trzy sparaliżowane ofiary suszy i własnej głupoty. Każdy z nas zarył niedawno łbem o płyciznę, skacząc do wody i każdy z nas jedyne co teraz może robić to gadać. Gadać, mrugać i czasem płakać, bo żadnemu z nas nie jest do śmiechu i zapewne nigdy już nie będzie.

Kątem oka widzę, jak zażółca się rurka mojego cewnika – właśnie się odlałem, dobrze wiedzieć. Milczymy.

W nocy budzą mnie dziwne dźwięki. Spod okna dolatuje ciche ciamkanie i taki mokry, nosowy wizg. Wyobrażam sobie, że to tylko Krzysiek płacze, jak zwykle.

Ale przedwczoraj było nas na sali czterech.

Pamiętki

Dziś wyrzuciłem dwie koszulki. Zaległy się w nich paskudne wspomnienia.

Kamasutra

Seks z nią był wspaniały, ale sposób w jaki mnie na koniec wydymała, był arcydziełem godnym osobnego rozdziału w Kamasutrze.

Odrobina autoreklamy

O autorze:

Marcin Jamiołkowski

Rocznik 1974. Uzależniony od programowania kofeinista, wychowany przez Atari 65 XE i wykarmiony przez magnetofon kasetowy, twierdzi, że pamięta czasy, kiedy gry komputerowe były nadawane przez radio.

Przez ostatnie dziesięć lat związany ze światem hazardu, ale nie jako gracz, choć na wyścigach konnych sobie nie odmawia.

Autor serii książek o warszawskim magu – Herbercie Kruku. Pierwsza i druga część serii zatytułowane „Okup krwi” „Order” zostały wydane nakładem wydawnictwa **Genius Creations**. Kolejna część pod tytułem „Bezsenni” ma zostać wydana w pierwszej połowie 2016 roku.

W październiku 2015 nakładem wydawnictwa **Czwarta Strona** opublikowana została jego space opera pod tytułem „Keller”.

Opublikował kilka opowiadań w portalach internetowych. Uważa, że drabble mają specyficzny rytm, a on poszukuje najlepszego.

Pierwszą książką SF, którą przeczytał był Bal na pięciu księżycach Bohdana Peteckiego. Od tej pory ukochał nie tylko fantastykę, ale i bal - sam nie wie, które woli bardziej.

Wyznaje bokononizm i praktykuje boko-maru.

Marcin Jamiołkowski

OKUP KRWI



Herbert wie, że spokojne życie w jednej z podwarszawskich miejscowości, gdzie nikt nie zna jego mrocznej przeszłości. Nawet przed ukochaną kobietą skrzętnie skrywa kim jest naprawdę. Bycie skromnym krawcem z Podkowy Leśnej jest spełnieniem jego marzeń.

Przeszłość jednak nie pozwala o sobie zapomnieć. Melania zostaje uprowadzona i jej życie zależy tylko od tego, czy Herbert zdąży na czas dostarczyć tajemniczą przesyłkę do Warszawy – miasta, od dawna pozbawionego magii, w którym moce Herberta nie działają.

Pokonanie 30 kilometrów w kilka godzin nie wydaje się być wielkim wyzwaniem. Stać się nim jednak, kiedy jego tropem ruszają: magowie, wysłannicy tajemniczego „Bractwa Miast”, wyznawcy Bazyliuszka, najemnicy i policja. Przeszkody piętrzą się na każdym kroku i tylko poznani przypadkowo sojusznicy oraz niespodziewanie budząca się do życia magia stolicy dają szansę na ocalenie ukochanej.

Czasu jest coraz mniej.

Warszawa nie miała do tej pory swojego maga.

Teraz już ma! Nazywa się Herbert Kruk.

Od Rozproszenia upłynęło kilka tysięcy lat. Ludzie opuścili Ziemię i przenieśli się do innych układów gwiazdowych. Znaleźli nowe światy do zamieszkania, znaleźli Obcych, ale nie znaleźli spokoju. Bo co towarzyszy ludzkości od zarania dziejów? Walka o wpływy i pieniądze. I jeszcze większe wpływy, i jeszcze większe pieniądze.

Główny bohater, Ian Keller, awanturnik i przemytnik, zostaje zwerbowany przez służby specjalne Układu Polonusa i wysokich przedstawicieli Nowego Watykanu do wykonania pewnej misji – odzyskania relikwii skradzionych przez uzurpatorski, powstały w wyniku Wielkiej Schizmy, Kościół Pontifexański.

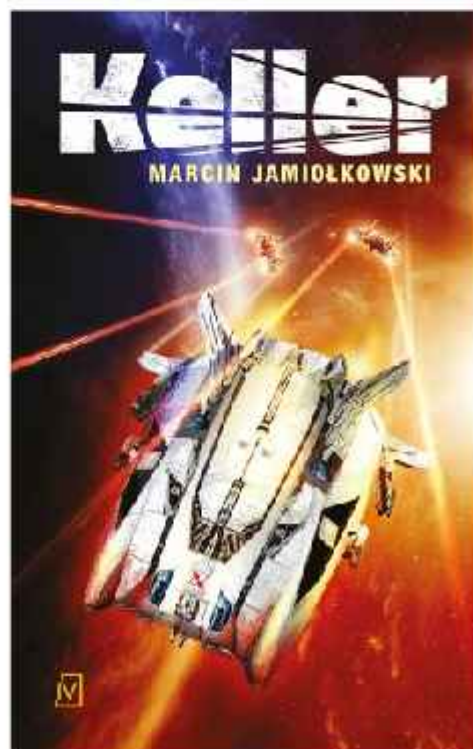
Na Pontifexie zbliżają się obchody Czwartego Tysiąclecia Męki Pańskiej. To doskonały czas, by przeniknąć na planetę. Doskonały czas na zapoznanie się z papieską córką. Doskonały czas na zemstę na generale Caratu.

Czy misja się powiedzie?

Kim naprawdę jest Ian Keller?

I co jest ważniejsze – zadanie czy zemsta?

Jeśli jesteś fanem Stalowego Szczura i Gwiazdnych Wojen – musisz poznać Kellera.



Marcin Jamiołkowski

ORDER



Magia powróciła do Warszawy, a wraz z nią nadciągnęły kłopoty – zaginął ważny dla bezpieczeństwa stolicy artefakt. Prowadzone konwencjonalnymi metodami śledztwo nie przynosi rezultatów, a więc czas na rozwiązania magiczne. Do pomocy zostaje zwerbowany Herbert Kruk.

Kto planuje wyrządzić krzywdę pozbawionej ochrony Warszawie i jej mieszkańcom?

Jaką moc kryje w sobie Order, który miasto otrzymało kilkadziesiąt lat temu z rąk potężnego maga i dlaczego został skradziony?

„Coś się wydarzy” – mówią ogłoszenia w autobusach. Czy ponure przeczucia Herberta się sprawdzą? Jakie sekrety skrywają tajemnicze tunele, położone głęboko pod Warszawą?

Tropy prowadzą w różne miejsca, a czasu jest jak zwykle za mało.

„Wpędzić maga w kłopoty to jedno, ale wpłatać tak ciekawie i zabawnie, jak to zrobił Marcin Jamiołkowski, to naprawdę wyższa szkoła jazdy.

Dawno się tak świetnie nie bawiłem, czytając książkę polskiego autora.

Dodatkowy plus za podejście do magii oraz legend. Naprawdę pomysłowa urban fantasy.”

Romuald Pawlak, autor bestsellerowych powieści Armia ślepców, Inne okręty i Rycerz bezkonny

W przygotowaniu

Marcin Jamiołkowski

Bezsenni

Marcin Jamiołkowski

BEZSENNI



W przygotowaniu.
Trzecia część serii pojawi
się na wiosnę 2016

*COPYRIGHT © 2014-2016 BY
MARCIN JAMIOŁKOWSKI*

WYDANIE I

ISBN (mam, ale nie dam)

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Chcesz wiedzieć kiedy pojawi się uaktualniony zbiór Migawek?

Polub profil autora na Facebooku:
<https://www.facebook.com/marcinjamiolkowskiautor>

Blog autora:
<http://marcinjamiolkowski.blogspot.com>